

DIALOG

pheniben

nr 6 KWIECIEŃ-MAJ-CZERWIEC 2012

☼ **NOWI LIDERZY** Matka harowała w przedszkolu, musiała codziennie przygotować 120 obiadów. Na kolację jadły chleb z olejem, ale biedy nie wolno było pokazywać nikomu, mała Timea nawet do piaskownicy szła się bawić w śnieżnobiałej sukieneczce ☼ **FOTOREPORTAŻ** „Romane Dyvesa”, czyli cygańskie dni odbywają się w Gorzowie Wielkopolskim od 1989 roku. To najstarsze tego typu wydarzenie na świecie. Jego pomysłodawcą, organizatorem i dyrektorem jest Edward Dębicki. Nad kształtem festiwalu czuwa do dziś ☼ **KULTURA** Otto Pankok odnalazł grupę Sinti, którzy obozowali w pobliżu Düsseldorfu. Artysta mieszkał wśród nich cztery lata, malarski warsztat urządził w kurniku ☼ **SPOŁECZEŃSTWO** Ślubna suknia musi być odświętna, nie z tego świata, magiczna, jakby uszyły ją bajkowe wróżki. Najważniejsze, żeby błyszczała, świeciła się, mrugała, odbijała światło, oślepiała ☼ **HISTORIA** Urzędnicy pracujący w firmach handlowych i kompaniach plantacyjnych, misjonarze, bankierzy, wojskowi wysokiego szczebla i przedstawiciele państw kolonialnych w debatach na tematy matrymonialne i moralne konfrontowali różne wizje imperium

☼ **KRÓL IDZIE, A KRÓLOWA Z BOKU**
 ☼ Katarzyna Boni **Str. 24-31** ☼ **Załoga bez kompromisu** ☼ Robert Sankowski **Str. 80-85** ☼ **„CZYSTOŚĆ RASOWA” I INNE POKUSY**
 ☼ Sławomir Zagórski **Str. 86-91** ☼ **Wszystkie domy pana Dębickiego** ☼ Magdalena Kicińska, Justyna Pobiedziska **Str. 50-63** ☼ **DLA NAS AUTORYTETY, A LIDERZY DLA NICH?** ☼ Małgorzata Kołaczek **Str. 20-23** ☼ „Romane Dyvesa” ☼ Adam Kozak **Str. 38-49**

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska

Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek

Korekta Grażyna Kwiec

Koncepcja i produkcja Redakcja tekstów, projekt graficzny,
fotoedycja: FUNDACJA OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS
Lidia Ostałowska, Dominique Roynette, Piotr Wójcik

Przygotowanie fotografii do druku Mariusz Glejzer

Drukarnia Colonel, Kraków

Finanse Renata Mucha

Wydawca STOWARZYSZENIE ROMÓW W POLSCE

Ul. Berka Joselewicza 5

32-600 Oświęcim

tel./faks: 033 842 69 89

stowarzyszenie@romowie.net

www.stowarzyszenie.romowie.net

Kontakt

www.dialog-pheniben.pl

redakcja@dialog-pheniben.pl



Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra
Administracji i Cyfryzacji



Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym
Województwa Małopolskiego



Zadanie jest współfinansowane ze środków
Województwa Opolskiego



Zadanie jest współfinansowane ze środków
Województwa Śląskiego



DIALOG pheniben

Kwartalnik Stowarzyszenia Romów w Polsce

Nr Indeksu ISSN: 1425-3496, nr rejestru prasowego: 157/MS - rej. pr. 44/94, nakład: 1000 egzemplarzy

Romska Poczta Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej 6-7

NOWI LIDERZY

Tak to się polityka nami bawi. Jolanta Koral, Jerzy Celichowski,

Barakonyi Szabolcs 8-19

Dla nas autorytety, a liderzy dla nich? Małgorzata Kołaczek 20-23

Król idzie, a królowa z boku. Z Adelą Głowacką rozmawia

Katarzyna Boni 24-31

Polityka, pamięć, przyszłość: ruch romski w XXI wieku.

Sławomir Kaprański 32-37

FOTOREPORTAŻ

Romane Dyvesa. Gorzów Wielkopolski 2012. Adam Kozak 38-49

KULTURA

Wszystkie domy pana Dębickiego.

Magdalena Kicińska, Justyna Pobiedzińska 50-63

Otto Pankok. Te obrazy są pozdrowieniem. Anna Arno 64-73

O Cyganach, którzy przekreślili gangsterów. Miłosz A. Gerlich ... 74-79

Załoga bez kompromisu. Robert Sankowski 80-85

SPOŁECZEŃSTWO

„Czystość rasowa” i inne pokusy. Sławomir Zagórski 86-91

Wrocławianie bez walizek. Miłosz A. Gerlich 92-101

Moje wielkie cygańskie wesele. Karolina Sulej 102-107

HISTORIA

Żeby imperium było przyzwoite. Ann Stoler 108-111

TU NAS SZUKAJCIE

Białystok: Kawiarnia Labalbal, ul. Warszawska 21 lok.3; **Gdańsk:** Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, ul. Targ Rakowy 5/6; **Kielce:** Stowarzyszenie Jana Karckiego, ul. Paderewskiego 40; **Nowy Sącz:** Małopolskie Centrum Kultury Sokół, ul. Długosza 3; **Oświęcim:** Centrum Dialogu i Modlitwy, ul. M. Kolbego 1, Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, ul. Legionów 11, Centrum Żydowskie, Plac Jana Skarbka 5; **Warszawa:** Dom Spotkań z Historią, ul. Karowa 20, Księgarnia Instytutu Reportażu Wrzenie Świata, ul. Gałczyńskiego 7



Dialog-Pheniben
to pismo bezpłatne.
Możecie wesprzeć
kwartalnik zasilając
konto:
67 1240 4155 1111 0010
4015 9291
Nawet niewielka wpłata
pomoże nam się
rozwinąć. Dziękujemy!



„Niniejszym informujemy Was, iż za zdradę ujawnienia naszego języka, naszej kultury i naszych obyczajów, które zostały przez Was »sprzedane«, ślemy na Was magerypen”.

Magerypen, czyli skalanie, to kara polegająca na wykluczeniu poza społeczność Romów za złamanie tabu. A fragment listu, który cytuję, w 1994 roku wysłali działacze bardziej ortodoksyjnej organizacji do swego liberalnego kolegi z innego stowarzyszenia. Pokazuje to, jak na początku lat 90. trudno było godzić polskim Romom nową społeczną aktywność z wiernością starym zasadom.

Różnice zdań w sprawie sposobów działania „na zewnątrz” nadal doprowadzają do konfliktów. Antagonizmy te obrazują, jak zmienia się kultura Romów. Młodzi, wykształceni działacze coraz częściej zabierają głos na forum publicznym. Ale mają świadomość, że muszą liczyć się z opinią starszyny i poszukiwać kompromisu pomiędzy światem romskim i nie-romskim. Romowie potrzebują reprezentacji: ludzi przygotowanych do dialogu z władzami lub dziennikarzami. Ale dialog ten zmienia kulturę. Pojawiają się nawet obawy, że doprowadzi do jej unicestwienia. Niedawno starszy Rom powiedział mi: „Udało się nam przetrwać wojny i totalitaryzmy, istniejemy. Ale nigdy nie musieliśmy mierzyć się z wyzwaniem, jakie stawia przed nami nowoczesność”. Jak zachować tradycję w zglobalizowanym świecie i zarazem uniknąć marginalizacji? To dylemat, przed którym stoją nie tylko Romowie, ale też inne grupy walczące o kulturowe przetrwanie. Kwestiom tym poświęcamy kolejny numer kwartalnika

„Dialog-Pheniben”. Piszą o nich Małgorzata Kołaczek, Jolanta Koral i Jerzy Celichowski, Sławomir Kaprański, Katarzyna Boni.

W Polsce na poziomie lokalnym i regionalnym można zaobserwować proces „wynajdowania wielokulturowości”, by spożytkować unijne fundusze. Tematem tym zajął Miłosz A. Gerlich w artykule „Wrocławianie bez walizek”.

Sławomir Zagórski wyjaśnia z kolei, do czego można wykorzystać genetykę i czy mniejszości etniczne powinny się jej bać. Reporterki Magdalena Kicińska i Justyna Pobiedzińska przedstawiają sylwetkę Edwarda Dębickiego - legendarnego muzyka, twórcy Międzynarodowych Spotkań Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa”. Tegoroczną edycję tej imprezy znakomicie sfotografował Adam Kozak.

Zapraszam do „Dialogu-Pheniben”

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

SIERPIEŃ

Świat nie wyciągnął wniosków

68. rocznica likwidacji Zigeunerlager w KL Auschwitz-Birkenau

Helena Majowska - z głową obwiązaną chustką, w staromodnym fartuchu, jakiego młode już nie używają, wsparta na lasce stoi na łące w Birkenau. Nie była tu od wojny ani razu. W 1943 roku całą jej rodzinę aresztowało gestapo, wszyscy trafili do Zigeunerlager. Nikt nie ocalał. Helenie tuż przed likwidacją obozu cygańskiego pomógł jakiś dobry człowiek, po kryjomu wyprowadził dziewczynę z zagrożonego odcinka. Wkrótce odjechała więziarskim transportem do Ravensbrück. Helena Majowska ma 85 lat. Obawia się, że kolejnego roku nie przeżyje. Dlatego zebrała się na odwagę i przyjechała na uroczystości. Stała obok Edwarda Paczkowskiego, więźnia Auschwitz, który zawsze tu jest 2 sierpnia - chyba że zdrowie nie pozwala. Przed likwidacją wywieźli go do Buchenwaldu, w Zigeunerlager zostawił

Sprostowanie

Inicjatorami apelu „Wszyscy jesteście greckimi Żydami!” (Dialog-Pheniben nr 5/2012) byli członkowie międzynarodowego antyrasistowskiego ruchu EGAM (European Grassroots Antiracist Movement), a nie – jak podaliśmy - europejscy intelektualści. Wielu intelektualistów podpisało się jednak pod nim, popierając zawarte w apelu postulaty.

matkę i siostrę. Razem oplakali swoich zmarłych. Helena Majowska zemdląca, karetka zabrała ją z Birkenau do oświęcimskiego szpitala. 1 i 2 sierpnia w byłym obozie Auschwitz-Birkenau obchodzi się Międzynarodowy Dzień Pamięci o Zagładzie Romów. Tym razem w ceremonii wzięli udział przedstawiciele rządów, w tym minister Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, reprezentująca premiera Donalda Tuska, i przedstawiciele korpusu dyplomatycznego. Ale najboleśniej przeżyli ją byli więźniowie KL Auschwitz oraz innych nazistowskich obozów i gett. Zoni Weisz, jeden ze świadków przeszłości, powiedział: „Zagłada Sinti i Romów ciągle jest zapomnianym Holokaustem. Pół miliona Sinti i Romów - mężczyzn, kobiet i dzieci - zamordowano. Świat nie wyciągnął z tego żadnych albo prawie żadnych wniosków. Dlatego ciągle musimy przypominać prawdę o Holokauście. Nasze głosy muszą zostać usłyszane!”. Uroczystości rocznicowe obchodzone są od 1993 roku z inicjatywy Stowarzyszenia Romów w Polsce. Michał Boni, minister administracji i cyfryzacji, docenił wysiłki

jego prezesa Romana Kwiatkowskiego na rzecz przywrócenia pamięci. „Pańska działalność i zaangażowanie w przywrócenie do świadomości zbiorowej zagłady Romów i Sinti jako części wspólnej tragicznej historii Europy zasługuje na najwyższe uznanie” - podkreślił w nadesłanym liście. Obchody uświetnił koncert ku czci romskich ofiar Holokaustu. Kameralna Orkiestra Romska z Koszyc pod batutą Karela Adama (na zdjęciu) wykonała w krakowskim kościele św. Katarzyny utwory Bacha, Rachmaninowa, Czajkowskiego. Wiersze romskich poetów recytował Jerzy Zelnik. Organizację 68. rocznicy likwidacji Zigeunerlager wsparły finansowo: Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji, Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej - Stiftung fur Zusammenarbeit oraz Fundusz Przyszłości Austrii - Zukunfts Fonds der Republik Osterreich.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska



Przed pomnikiem Zagłady Romów i Sinti. Od lewej: Hugo Hollenreiner - były więzień Zigeunerlager, Roman Kwiatkowski - prezes Stowarzyszenia Romów w Polsce, Helena Majowska - była więźniarka Zigeunerlager, Edward Paczkowski - były więzień KL Auschwitz.



Przy Krematorium V. Od lewej: Józef Jochmczyk-Merstein i Roman Kwiatkowski ze Stowarzyszenia Romów w Polsce, Romani Rose z Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów, Edward Dębicki poeta i kompozytor.



W kościele św. Katarzyny w Krakowie. Karel Adam z Kameralnej Orkiestry Romskiej z Koszyc (Słowacja)
Fotografie Piotr Wójcik

☼ W partyjnych targach i kompromisach gdzieś zagubiła się sprawa romska. ☼ Jak za dyktatury Horthy'ego przed i w czasie drugiej wojny mamy dziś antysemityzm, antycyganizm, poddaństwo. ☼ Te tradycje przetrwały w reżimie Kádára, gdy ludzie rezygnowali z wolności w zamian za drobne udogodnienia. ☼ Kolejne węgierskie rządy biorą z obu dyktatur, co najgorsze

Tekst Jolanta Koral

Fotografie Barakonyi Szabolcs

Ulica Üllői 23, XI Dzielnica. Masywna drewniana brama z zardzewiałą żelazną sztabą, drewno dziurawe i oblaźłe z farby, w środku dziki ogród pod balkonami opasującymi piętra starej kamienicy. Na parterze biuro Fundacji Mniejszości i Praw Człowieka: dwa nieduże pokoje, kopiarki chodzą bez przerwy, półki zavalone dokumentami. Ciasno. Fundację założył w 2010 roku Aladár Horváth. Ileż on stworzył tych fundacji, komitetów, programów - starczyłoby na kilka pokoleń. Rozczarowań też.

Aladár: Przejrzałem na oczy

Urodził się w 1964 roku w Miskolcu, w komórcie na drewno i węgiel. Rodzina pochodzi z północnej Słowacji - Węgry utraciły te tereny po traktacie w Trianon z 1920 roku, który dla Węgrów jest niezagojoną raną, bo odebrał im dwie trzecie terytorium.

Przodkowie ze strony ojca to znakomici kowale i muzycy, rodzina tworzyła całą orkiestrę: byli i skrzypkowie, i cymbaliści, i akordeoniści. W tygodniu wypasali bydło i kuli konie, a w soboty i niedziele grali po weselach i rodzinnych uroczystościach.

Przodkowie ze strony matki też przedni rzemieślnicy - wyrabiali drewniane balie, misy i cegły z niewypalanej gliny. W 1938 roku, po zajęciu Słowacji przez Niemcy, słowaccy żandarmi spędzili cygańskie rodziny, kazali im

Tak to się polityka nami bawi

Aladár Horváth przed biurem Fundacji Mniejszości i Praw Człowieka w XI Dzielnicy Budapesztu.



się wynosić na Węgry. Horváthowie zamieszkali wtedy w małej wiosce pod Miszkolcem, byli tam pierwszą romską rodziną.

Do Miszkolca, wizytówki nowego porządku, chlubiącego się Hutą imienia Lenina (oficjalnie) i fabryką broni (mniej oficjalnie), ciągnęło wtedy za robkiem wielu, zwłaszcza niewykwalifikowanych robotników z biednych wiosek. Przyjeżdżali ci bardziej przedsiębiorczy, a ojciec Aladára był przedsiębiorczy. W 1959 roku zaczął pracować w hucie. Wziął sobie za żonę 15-letnią dziewczynę. Miał wtedy 19 lat. Zamieszkali na skraju miasta w komórce na drewno i węgiel. Ich pierwsze dziecko, dziewczynka, umarło na zapalenie płuc, bo w komórce było zimno i wilgotno. W tej samej komórce rodzi się Aladár i jego dwóch braci. Rodzina przeprowadza się do centrum - w uznaniu za dobrą pracę, za to, że zapisuje się na wszelkie możliwe kursy, że wstępuje do partii, ojcu przydzielono skromne mieszkanie. Tam rodzi się jeszcze troje dzieci. Potem mieszkają na osiedlu pracowników przemysłu metalowego.

Aladár bez problemu skończył podstawówkę, potem gimnazjum. - Ojciec, który do szkoły chodził bez butów i skończył tylko cztery klasy, choć był bardzo zdolny, twardo pilnował, żebym się uczył. Jeśli nie przynosiłem dobrych stopni, nie pozwalał, żeby matka przygotowała mi kanapkę ze smalcem.

Lubił szkołę, a szkoła lubiła jego. Miał jednak za słabe stopnie i nie przyjęto go na prawo, więc tak jak ojciec poszedł do pracy do huty; harował na cztery zmiany, aż dostał się do studium nauczycielskiego w Budapeszcie.

Zawsze rozrabiał: na studiach, w wojsku, tuż przed upadkiem komunizmu, bronił dyskryminowanych kolegów. To rozrabianie sprawiło, że w trakcie studiów razem ze swoją młodzieńką dziewczyną, którą porwał, i która później została jego żoną, wyjeżdża z Budapesztu do małej wioski Köröm, czyli Paznokiec, pod Miszkolcem.

Uczy w szkole specjalnej, tak biednej, że sami nauczyciele palili drewnem w piecach. Chodzi tam większość cygańskich dzieci z Paznokcia. Po roku, dzięki dawnemu dyrektorowi z podstawówki, którą kiedyś skończył, wraca do Miszkolca. Prowadzi klasę cygańską.

Uważa, że tam zaczęła się jego prawdziwa działalność społeczna. - Gdy zacząłem uczyć, byłem przekonany, że tworzenie romskich klas przynosi więcej korzyści niż problemów. Niewiele jeszcze wiedziałem, a wśród elit panowało przekonanie, że nauczyciel romski ma uczyć romskie dzieci, bo ta sama kultura, podobne problemy. Zacząłem myśleć inaczej, gdy w trzeciej klasie cygańska dziewczynka zapytała mnie, dlaczego nie ma przyjaciół wśród Węgrów? Jakbym przejrzał na oczy, zrozumiałem, że to ślepa ulica. Anna Daróczy doszła do tych samych wniosków, studiując socjologię i pedagogikę społeczną na katolickim uniwersytecie w Vác. Bardzo chciała pracować z romskimi dziećmi, ale uznała, że nie będzie częścią systemu edukacji, który jest wyłącznie zły.

Różnica wieku - 30 lat.

Anna: Jestem Cyganką

Pierwszego dnia w podstawówce oświadczyła przed całą klasą: „Nazywam się Anna Daróczy i jestem Cyganką”. W tej szkole było mało cygańskich dzieci, trafiały głównie do specjalnych. Jej się udało (szczęście?, przypadek?, bo nie wygląda na Romkę?).

- Bardzo wcześnie zaczęłam budować swoją romską tożsamość. Miałam w

rodzinie wielu aktywistów, od dziecka słyszałam, że trzeba zrobić to czy tamto, zaprotestować, zorganizować się.

Anna jest blisko spokrewniona z Ágnes Daróczy, dziennikarką, działaczką na rzecz praw kobiet romskich, wiceprezydentką Stowarzyszenia Phralipe; ich dziadkowie byli braćmi. Ojciec Anny - József Daróczy - aktywista, nauczyciel i pisarz, matka - Węgierka z szacownej inteligenckiej rodziny, w której Cyganów się nie lubiło (do dziś Anna odczuwa tę niechęć). Dla Józsefa uciekła z domu, gdy miała 19 lat. Zamieszkali bez ślubu w rodzinie Józsefa na budapeszteńskiej przemysłowej wyspie Csepel. Za pracę w radzie dzielnicy samorząd przydzielił mu mieszkanie na peryferiach, w robotniczej dzielnicy Köbánya, gdzie mieszkało wielu Romów. Mimo biedy József i połowa jego rodzeństwa pokończyli studia. Oczywiście, że Anna będzie się uczyć.

W podstawówce nie odczuwała jawnej wrogości, dopiero później zrozumiała sens pewnych zdarzeń. Takich jak to, że nauczycielka ostrzegła jej koleżankę, że przyjaźń z Anną nie jest dobrym pomysłem. Lata później spotkała tę nauczycielkę, spytała, dlaczego tak powiedziała. „Uważałam, że to było dla niej najlepsze” - odparła, nie zamierzając się tłumaczyć.

Za to gimnazjum było liberalne, w klasie dużo się o Romach rozmawiało i czytało.

Rodzice namówili Annę, żeby zdawała na uczelnię ekonomiczną, będzie jej się lepiej żyło. - To mnie kompletnie nie interesowało, wytrzymałam dwa miesiące. Zdecydowałam, że będę się uczyć tylko tego, co ma dla mnie sens. Dostała się na uniwersytet w Vác. Chciała być dziecięcym kuratorem albo pracować w domu dziecka, albo bronić praw dzieci. Ale to by oznaczało, że uczestniczy w dyskryminacji, wspiera coś, co zwalcza. Szukała dalej: uniwersytet budapeszteński, międzykulturowe studium pedagogiki i psychologii. Po roku zainteresował ją kurs przygotowawczy na CEU (Central European University, prywatnej uczelni finansowanej przez George'a Sorosa). W kursie, który przygotowuje do studiów na CEU i innych europejskich uczelniach, mogą uczestniczyć romscy studenci ze wschodniej Europy, którzy zdobyli już jakiś dyplom. Dziewięciomiesięczne zajęcia są po angielsku w małych grupach; studenci sami decydują, czego chcą się uczyć. Anna wybrała gender studies.

- Bo interesuje mnie społeczne i polityczne postrzeganie roli kobiety, bo polityka poprzez kontrolę nad kobiecym ciałem wpływa na całe społeczeństwo. Anna pracę dyplomową napisze o aborcji, pokaże, że prawo inaczej traktuje romskie kobiety - Węgierki muszą przed aborcją przejść dwie konsultacje z lekarzem; pierwsza ma zniechęcić do zabiegu. W przypadku Romek nikt tego przepisu nie przestrzega, bo im mniej urodzi się cygańskich dzieci, tym lepiej. Przy okazji aborcji dokonuje się też często nielegalnej sterylizacji. Po studiach chce pomagać romskim kobietom. Wie, że ze względu na mieszane pochodzenie może jej być trudno. Związek rodziców nie przetrwał, ojciec wrócił na Csepel, zamieszkał z siostrą Anny. Jest na emeryturze, uczy języka romskiego w ramach programu Romaversitas.

- Nigdy nie przynależałam w pełni ani do romskiego, ani do węgierskiego świata. W rodzinie mamy zawsze musiałam uważać na konwenanse, elegancko się wyrażać. W rodzinie ojca panowała większa swoboda. W zależności od tego, gdzie akurat byłam, stawałam się dwiema różnymi osobami. Kiedy jestem u rodziny siostry i powiem coś, co jej się nie podoba, mówi: „Nie liczysz się z nami, bo nie jesteś Cyganką”.

Tímea: Odkurza obrazy

O cygańskich malarkach opowiedziała światu Tímea Junghaus. Pierwsza na Węgrzech romska krytyczka sztuki napisała o nich dyplom; to była pionierska praca. Dotąd Węgrzy znali tylko jednego cygańskiego malarza - János Balázsa. Ale czy kto słyszał, żeby Cyganki malowały?

Ojciec Timei, Gusztáv Junghaus, pochodził z austriackich Sinti. Miał 16 lat, kiedy rodzina osiadła w Budapeszcie. Tímea pamięta, że jeszcze kilka lat temu stał na ulicy wóz, którym przyjechali: drewniany, bordowy, na gumowych kołach. Dziadkowie ze strony ojca byli wspaniałymi cyrkowcami i tancerzami. W Budapeszcie ojciec zajął się boksem, w 1964 roku został mistrzem Węgier, potem mistrzem Europy, a później trenerem.

Matka pochodzi z Romungrów, węgierskich Cyganów. W rodzinie wspaniali muzycy, występowali na całym świecie, dobrze im się żyło, mieli dobrze prosperujące gospodarstwo, dużo świń. Do szkół w Budapeszcie posłali pięcioro dzieci, matkę Tímei wykształcili na kucharkę. Poznała Gusztáva, pobrali się natychmiast. Kłopot w tym, że jej rodzina uważała się za coś znacznie lepszego niż jacyś tam cyrkowcy. Po dziesięciu latach trudnego związku urodziła się Tímea i rodzice się rozeszli.

Zamieszkała z matką w najbiedniejszej części VIII Dzielnicy, przy ulicy Tömő; bardzo wielu tu Romów. Ta piękna niegdyś, drobnomieszczańska część Budapesztu powoli popadała w ruinę. Matka harowała w przedszkolu, musiała codziennie przygotować 120 obiadów. Na kolację jadły chleb z olejem, ale biedy nie wolno było pokazywać. Mała Tímea nawet do piaskownicy szła się bawić w śnieżnobiałej sukieneczce. Matka nieustannie skubała, czyściła, wygładzała jej ubranka, strzępywała niewidzialne pyłki, a przed wyjściem córki do szkoły sprawdzała, czy nie ma wszy.

Po Gusztávie matka nie miała już żadnego mężczyzny, a Tímea odpłacała jej się dobrymi stopniami. Połykała książki, kuła. Szkoła była licha, ale ze świetną nauczycielką historii sztuki. Gdy Tímea miała 10 lat, wygrała konkurs z analizy dzieła artystycznego (to taki socjalistyczny pomysł, że dzieci mają mówić uczenie o sztuce...). Już wtedy wiedziała, że chce być historykiem sztuki. W szkole wygrywała konkursy za konkursem, stała się znana. Ale i tak jej ukochana nauczycielka powiedziała mamie koleżanki: „Proszę uważać na Tímeę, bo cygańskie dziewczynki szybko dojrzewają”. A przecież ona przyniosła tej nauczycielce wiele nagród, sławy i pieniędzy za wygrywane ciągle konkursy.

Historia sztuki na budapeszteńskim uniwersytecie. Koszmar. Elitarne, snobistyczne studia, dzieci zamożnych lekarzy i adwokatów. Od razu dały jej odczuć, kim jest. Przerwała studia, poszła do pracy, zdobywała reklamy dla firmy, która wydawała książki telefoniczne, świetnie jej szło. Kiedy wróciła na uniwersytet, wiedziała, że jest tyle samo warta.

Jenő Zsigó, twórca kultowego zespołu Ando Drom i guru młodych Romów, który organizuje obozy twórcze dla romskiej młodzieży, powiedział Tímei, że w Domu Cygańskim w IV Dzielnicy jest magazyn, ponad dwa tysiące obrazów zbieranych przez władze miasta od 1969 roku.

To zbieranie wyglądało tak, że co jakiś czas pracownik magistratu wchodził do pokoju i rzucał kolejne płótno na rosnącą górę. Tímea zaczęła porządkowanie.

W magazynie nie było światła ani ogrzewania, zimą temperatura spadała do minus 5 stopni. Oczyszczyła obrazy z kurzu i brudu, ustawiła na półkach,



Biuro Fundacji to dwa nieduże pokoje. W jednym z nich Aladár Horváth przyjmuje interesantów.

opisała, dodała biogramy artystów. Od marca 2003 roku zaczęła w romskim parlamencie organizować tematyczne wystawy cygańskiej sztuki z tych zbiorów, pokazała między innymi cygańskie malarki.

Zapala się, odrzuca włosy na ramię, ostrzeża: - Ja o nich mogę gadać godzinami!

Kultowa kawiarnia, styl późnego Kádára, podłoga z lastryko, przaśne krzesła i kanapki wyłożone czerwonym skajem.

- W latach 60. na cygańskim osiedlu pod Pecs węgierscy krytycy odkryli János Balázsa, stał się sławny, nawet w krzyżówkach się pojawiał. Jednak nie chcieli przyjąć do wiadomości, że na tym samym osiedlu tworzą też inni artyści. Jolán Oláh zaczęła malować po pięćdziesiątce, wcześniej pracowała w kopalni węgla - była drobnutką kobietą i łatwo mieściła się w ciasnych korytarzach, za wąskich dla mężczyzn. Malowała głównie maski w jaskrawych kolorach, na tym, co pod ręką, choćby na prześcieradle.

Tímea pokazała też Węgrom Marę Oláh - „Omarę”. To aktywistka, feministka, a jej obrazy są zapisem kobiecego losu. Kiedyś jeden z węgierskich krytyków zobaczył jej płótno, na którym są dwie kobiety na czworakach. Orzekł, że to lesbijki. Mara nie znała tego słowa, a gdy jej objaśniono,

wściekła się: „Nie rozumiecie, co widzicie, więc będę wam to opisywać!”. Odtąd opatruje obrazy komentarzami.

- To niesprawiedliwe, że cygańska sztuka jest odcięta od odbiorców, nie ma nawet stałej ekspozycji. Ci wspaniali artyści w innowacyjny sposób krytykują rzeczywistość, mogą uwrażliwiać na sytuację Romów polityków i inteligencję, poprzez sztukę tworzyć cygańską wspólnotę. To, że się tych artystów nie pokazuje ani nie wspiera, jest decyzją czysto polityczną. Romowie mają ustawowe prawo do własnej kultury, dlatego Węgrzy powinni powołać centrum współczesnej sztuki romskiej. Wszyscy intelektualiści romscy, jakich znam, mieli koncepcję jego stworzenia, ale przegrali. W 2006 roku osobiście otwierałam takie centrum, a następnego dnia miejski samorząd je zamknął. Tak to się polityka nami bawi. Jednocześnie w Europie pojęcie „romska sztuka współczesna” weszło do obiegu, to zasługa mojego pokolenia.

W 2007 roku Tímea wywalczyła romski pawilon na Biennale w Wenecji - przecież romska tożsamość to idealna tożsamość europejska, Romowie są ponadnarodowi. Pokazano 16 artystów. Wcześniej zabiegi u burmistrza Wenecji, w Komisji Europejskiej, u prezydenta Biennale, ogromny wysiłek całego zespołu.

Rok później stworzyła Europejską Fundację Kultury Romskiej. Cel: zwalczanie dyskryminacji i stereotypów poprzez sztukę. Fundacja ma własny zbiór współczesnej międzynarodowej sztuki romskiej - od jesieni tego roku będzie wystawiana w stałej galerii w VIII Dzielnicy.

Fundacja realizuje różne projekty z młodymi artystami, na przykład instalacje odwołujące się do nacjonalistycznych ataków na Romów (András Kallái pokazał lalki Barbie maszerujące w strojach gwardzistów Jobbiku). Stworzyła archiwum romskiego hip-hopu z Czech, Węgier, Słowacji i Polski. To ważne archiwum, bo artyści hiphopowi najostrzej, najodważniej wyrażają krytykę społeczną.

Sercu Tímei bliski jest projekt fundacji „Starsi mędracy”; zebrali biografie, cytaty, informacje o starszych doświadczonych aktywistach romskich z Węgier, Szwecji, Niemiec, Anglii, organizują im wystąpienia publiczne.

Aladár: Rozrabia

Gdy po wojsku Aladár wraca do szkoły, wybucha sprawa getta w Miskolcu, które władze miasta zaczęły budować na obrzeżach dla Cyganów ze śródmieścia: 30-metrowe mieszkania w barakach bez kanalizacji, łączności ze światem, na terenach bagiennych. Aladár mobilizuje intelektualistów i studentów, powstaje Komitet Sprzeciwu Wobec Getta, któremu przewodzi. Jest rok 1988.

- System był już na tyle rozmiękczony, że nie był w stanie przeciwstawić się protestowi i baraków nie zbudowano. To była moja pierwsza taka akcja społeczna - dobrze zorganizowana, przemyślana, miała swoją strukturę. Współpracowali ze sobą miejscowi obrońcy wysiedlanych Romów, często ludzie bardzo prości, pomagali romscy i węgierscy socjologowie, intelektualiści, wolontariusze. Taka współpraca była rzeczą niespotykaną. Akcja trwała trzy miesiące.

Protest przeciwko budowie cygańskiego getta w Székesfehérvár w 1995 roku trwał znacznie dłużej - trzy lata. Władze miasta wysiedliły ze śród-

mieścia do blaszanych kontenerów 30 cygańskich rodzin, bo ich domy można było wyremontować i sprzedać z zyskiem. Antycygańskie zamieszki, policja w stanie pogotowia. Horváth zakłada Fundację Praw Obywatelskich Romów i reaktywuje Komitet Sprzeciwu Wobec Getta.

- Nie zmieniło się nic, tylko wygrywać coraz trudniej.

Ale sukces pierwszego protestu dodał skrzydeł jemu i romskim aktywistom, w kwietniu 1989 roku powstaje pierwsza niezależna organizacja romska - Phralipe; Aladár wchodzi do jej kierownictwa. Stowarzyszenie formułuje postulaty dotyczące społeczności romskiej i rozsyła je do tworzących się partii. Rozsyła także list: Romowie chcą startować w pierwszych wolnych wyborach.

- Odpowiedział nam tylko Związek Wolnych Demokratów: biorą dwie osoby, w tym mnie. To był historyczny moment - Romowie mogą wziąć udział w tworzeniu nowego systemu! Mają szanse na zbudowanie lepszego świata.

Pamięta ten entuzjazm, nadzieję, że zmieni sytuację najbiedniejszych. Pamięta rozczarowanie.

Znowu narozrabiał. Gdy w czerwcu 1993 roku parlament przyjmował ustawę o mniejszościach, zagłosował przeciw. Bo to była zupełnie inna ustawa niż ta, która powstała przy okrągłym stole mniejszości. Rząd preferował własny projekt, w którym o mniejszościach decydują politycy. Jego wyłamanie się z szeregu bardzo się w partii nie spodobało, bo Wolni Demokraci chcieli wygrać następne wybory i taki radykał psuł im wizerunek. W partyjnych targach i kompromisach gdzieś zagubiła się sprawa romska.

- Jak za dyktatury Horthy'ego przed i w czasie drugiej wojny mamy dziś antysemityzm, antycyganizm, poddaństwo. Te tradycje przetrwały w reżimie Kádára, gdy ludzie rezygnowali z wolności i godności w zamian za drobne udogodnienia. Przejmują je kolejne rządy, biorą z obu dyktatur wszystko, co najgorsze.

Dla Cyganów zostaje coraz mniej przestrzeni do działania, bo państwo zawłaszczyło także samorządy mniejszościowe i parlament romski. Stał się pusty, umarł. Jego przedstawiciele dobiera się na zasadzie feudalnego poddaństwa. Ale cygańscy działacze samorządowi też nie są bez winy, bo żyją z tego systemu. Teraz sprzyjają FIDESZ, kiedy socjaliści byli u władzy - sprzyjali socjalistom. Dlatego Aladár jest przekonany, że parlament i samorządy trzeba zlikwidować.

Cygańscy politycy nie są bez winy, bo zapominają, gdzie ich korzenie. - Flórián Farkas, poseł, przewodniczący krajowego romskiego samorządu mniejszościowego, w zeszłym roku ani razu głosu nie zabrał. Gdy parlament dyskutował nad rządową strategią romską, nawet nie był obecny na sali posiedzeń! Zawsze głośniejszy jest za antycygańskimi ustawami, za ustawą o robotach publicznych. Zgodnie z nią państwo może posłać Roma do pracy w promieniu 300 kilometrów od jego domu. Mieszka się w kontenerach, a nadzorczy to emerytowani policjanci albo wojskowi. To praktycznie obozy pracy.

Zmienia się też postawa młodych ludzi wobec życia: najważniejsza jest kariera, a nie praca na rzecz społeczności; chcą wreszcie mieć coś z życia.

Jednak mimo wszystko Aladár uważa, że te cztery polityczne lata nie były czasem straconym: udało się sprawić, że wiele pojęć z zakresu praw człowieka weszło do obiegu publicznego.



Željko: Polityka w końcu nas dopadnie

Anna Daróczy nie chce się wzorować na znanych aktywistach, takich jak jej krewna Ágnes czy Aladár Horváth.

- Mamy duże kłopoty z komunikacją międzypokoleniową: starsi uważają, że choć popełnili wiele błędów, to dużo zrobili i chcieliby, aby młodzi uznali ich zasługi, zasięgaliby rady, konsultowali decyzje. A my wolimy po swojemu. Problem w tym, że moi koledzy na razie oddają się czysto teoretycznym sporom, na przykład: kto jest prawdziwym Romem, jak się powinno mówić „Cygan” czy „Rom” albo czy segregacja w szkołach jest dobra, czy zła. Te dyskusje nie przekładają się ani na codzienne życie, ani na politykę czy działalność społeczną. Czujemy jednak, że wcześniej czy później polityka nas dopadnie i zmusi do działania, bo nie ma nikogo, kto by rozwiązał nasze problemy za nas.

Tímea Junghaus: - Nie widzę wśród młodego pokolenia osobowości na miarę Horvátha czy Zsigó. Każdy coś robi na własną rękę. Nie są w stanie tak zorganizować ludzi, jak charyzmatyczni działacze średniego pokolenia. Nie ma też właściwie przepływu wiedzy i doświadczeń między pokoleniami. Anna zastanawia się: ktoś taki jak Željko Jovanović mógłby być inspiracją dla mojego pokolenia. Wykształcony, pracuje w międzynarodowych instytucjach, młody, ale z ogromnym doświadczeniem.

Željko jest serbskim Romem, urodził się w miasteczku Valjevo pod Belgradem.

Wizyta u rodziny



Aladár Horváth z córkami:
starszą Mirą (po lewej)
i Jacintą przed swoim domem
w Veresegyház pod
Budapesztem

Pierwszych piętnaście lat życia - skrajna nędza. Matka ukończyła ekonomię na uniwersytecie belgradzkim, chociaż czasem nie miała się w co do szkoły ubrać. Za Tity pracowała jako inspektor podatkowy. Ojciec skończył szkołę średnią, otworzył własną agencję nieruchomości. Wtedy im się polepszyło. Rodzice mieli wobec niego plan A i B. Plan A to wykształcenie. Plan B - gra na skrzypcach, gdyby ze szkołą nie wyszło.

Željko uczył się ze słuchu, do dziś nie zna nut. W szkole średniej zarabiał, grając na ślubach. Rzucił skrzypce, gdy zaczął studiować prawo, uznał, że ma wybór, jakiego inni Cyganie nie mają, i nie wolno tego zmarnować. - Ludzie wołali: „Chodź Cygan, zagraj nam”, a ja myślałem: kim jestem, żeby mną tak pomiatali?

Kiedy był w szkole średniej, w 1996 roku, powstawała Romska Partia Kongresu, ojciec tworzył oddział w Valjevie. - Kładłem się do łóżka, a przy stole ludzie ciągle dyskutowali, gadali. Przy tych dyskusjach zasypiałem.

Szefem partii był dziennikarz radiowy, który tworzył romski serwis informacyjny. Kiedy Željko przyjechał do Belgradu na studia, zgłosił się do niego jako wolontariusz, a on polecił go amerykańskiej fundacji Catholic Relief Services, która zajmowała się pomocą humanitarną. Zaniósł swoje CV, ze dwie linijki tekstu, o sobie ledwo co potrafił wydukać, ale dali mu szansę, przydzielili służbowy samochód. Przez dwa lata, do 2002 roku, jeździł po Serbii, odwiedzał obozy uchodźców z Bośni, Chorwacji, Kosowa, osiedla romskie, sprawdzał, jak dociera pomoc. Fundacja przydzieliła mu opiekuna

- socjologa, razem z nim prowadził badania nad sytuacją Romów w Serbii. Pomogło mu to przygotować się do pracy społecznej, takiej wiedzy nie zdobyłby na żadnym uniwersytecie.

- Trudno mnie było nazwać aktywistą, ale jak zobaczyłem, w jakich warunkach ludzie żyją w cygańskich osiedlach, wiedziałem, co mam robić.

W 2002 roku fundacja wydelegowała go, bo był świetnym pracownikiem, na szkolenie OBWE z mediacji. Rok później zaangażował się w realizację projektu OBWE, który zachęcał Romów do udziału w wyborach. Bardzo go skrytykował. Powiedzieli mu: „Skoro jesteś taki mądry, chodź do nas, pokaż, co potrafisz”. Przez dwa lata Željko pracował w przedstawicielstwie OBWE w Belgradzie, potem dowiedział się, że finansowany przez Sorosa Open Society Institute szuka ludzi do pracy na Węgrzech. Przyjęli go, jest szefem programu romskiego w OSI. Pracują nad taką zmianą prawa, które umożliwiłoby Romom działalność: polityczną, kulturalną, społeczną.

Realizują programy przełamujące uprzedzenia, jak chociażby konkurs fotograficzny Chachipe - w niestereotypowy sposób pokazuje życie Romów w różnych krajach: lokalnych działaczy, zdolną młodzież, rodzinę. Jury wybiera najlepsze zdjęcia, powstaje wędrująca po różnych krajach wystawa, która jest zaproszeniem do rozmowy. Odbyły się już cztery edycje Chachipe.

- Żeby Romowie jako pełnoprawni partnerzy mogli usiąść do stołu rozmów, muszą być zorganizowani i mieć politycznych przedstawicieli. Problemy romskie są rozpoznane, wiemy, jak je rozwiązywać, trzeba je teraz wdrażać, a to kwestia czysto polityczna. W samoorganizacji najbardziej przeszkadza bieda, nędzarze nie myślą o pracy społecznej, zwłaszcza przy takiej kontroli i manipulacji sfery społecznej przez państwo. Ale samoorganizacja to konieczność, nie ma innego wyboru. Widzę, że wyrosło już nowe pokolenie Romów, którzy chcą się zająć działalnością społeczną; są wśród nich ci, którzy skorzystali z naszych projektów.

Aladár: Kanada

Po odbyciu czteroletniej kadencji w parlamencie Aladár już nie chciał być partyjny. Zrozumiał, że aby odnieść jakikolwiek sukces, trzeba stworzyć wspólnotę losu, wspólnotę ludzi, którzy mają podobne podejście do tego, jak wydobyć Romów z nędzy. To dlatego w 1995 roku założył Fundację Obrony Praw Obywatelskich Romów.

Ale fundacja musiała zawiesić działalność.

- Po 2010 roku wyczerpały się sposoby i środki na pokojową działalność. Zostaliśmy sami. Samorząd VII Dzielnicy, który wtedy tworzyli socjaliści, zabrał nam biuro. Skończył się okres wynajmu i nie przedłużyli umowy. Kiedy uda mi się zebrać energię i siły, znowu ruszę do roboty.

Z drugiej strony fundacja właściwie osiągnęła to, co chciała: stworzyła biura obrony praw człowieka w całych Węgrzech. Działają, chociaż już nie pracują tam Cyganie, tylko zawodowi obrońcy praw człowieka, prawnicy, społecznicy. I mają o wiele więcej pieniędzy niż oni mieli, bo nie są Cyganami...

Fundacji udało się także powołać Romskie Biuro Prasowe. Można się tam było zapoznać z protokołami policyjnymi, wynająć adwokata. Biuro jeszcze działa, choć na małą skalę.

Dziesięć lat temu Aladár współtworzył kolejną fundację - Mniejszości i

Praw Człowieka. Zajmuje się głównie działalnością w mediach - realizuje programy radiowe i telewizyjne (we własnym studiu), kształci dziennikarzy. W telewizji publicznej emitowali magazyn „Prowokator”, który zajmował się obroną praw biednych, nagrywali audycję poświęconą prawom człowieka.

Nie wiadomo jednak, jak długo fundacja popracuje, bo też ma kłopoty finansowe.

Popołudnie, biuro pustoszeje. Aladár powoli zbiera papiery.

- Dwadzieścia lat pracowałem, żeby sytuacja z Miszkolca się nie powtórzyła, żeby Cyganie nie bali się bojówek Jobbiku, nie mieszkali w gettach. A szowinizm się wzmacnia. Strasznie trudno przeżywać tyle pogardy, i w tym wszystkim pracować, uśmiechać się, słuchać, że Cyganom nie chce się nic robić. A przecież w telewizyjnych turniejach talentów pojawia się tylu młodych, zdolnych Cyganów, którzy ciężko pracują na sukces. Jesteśmy młodym, energicznym narodem, połowa z nas to osiemnastolatki. Moglibyśmy pomóc krajowi - przecież ktoś tych emerytów musi utrzymywać. Dlaczego nie my? Wielu młodych wykształconych Cyganów opuszcza szkoły, ale ten system polityczny nie daje im pola do społecznego działania.

Problem w tym, że Cyganów nikt nie chce, nie są potrzebni nikomu. Chociaż nie, poprawia się Aladár, są potrzebni władzy, bo odwracają uwagę od prawdziwych problemów Węgier. Dopóki można kopać Cyganów, ludzie mogą się czuć trochę lepsi. Wszyscy starzy, chorzy, biedni stali się dla tego państwa „cyganami”. Jeśli w atmosferze wojny etnicznej nie doszło dotąd do wybuchu, to dlatego, że ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że rząd ich także poniża i odrzuca. Niedobrze dziś być Węgrem. Popsuli ten kraj.

- Jeżdżę dużo po wsiach, widzę coraz więcej pomników turula, a jak pytam: Po co go postawiliście, co to dla was znaczy?, ludzie mówią dumnie: „Turul to my”. To prymitywne i głupie.

Turul: mityczny ptak, ni to orzeł, ni to kruk, ni to sokół. Węgrzy wierzą, że to on przywiódł Madziarów nad Dunaj. Dla prawicowych zwolenników „wielkich Węgier” sprzed traktatu w Trianon to najważniejszy symbol narodowy. Od rządów FIDESZ legalne i nielegalne pomniki turula mnożą się na potęgę.

- W jednej wsi na południu Węgier zobaczyłem pomnik turula, cmentarz żydowski i nędzne osiedle cygańskie. Ta wieś to symbol dzisiejszych Węgier.

Jakieś nadzieje na przyszłość? Aladár nie wierzy, że przyjdą lepsze czasy. Jest zmęczony. Wszystko się rozłązi, wszystko trzeba zaczynać od początku. Dlatego marzy o tym, by węgierskich Romów przyjęła do siebie Kanada. Powinna, bo tu chodzi o ich fizyczne przetrwanie. W Kanadzie dobrze się żyje, nikt tam ludzi nie dyskryminuje z powodu ciemniejszej skóry. Mogą się uczyć i pracować.

Czy on by też wyjechał? - To dobre pytanie - stwierdza. Opiera policzek na dłoni i długo milczy.

- Nie - mówi w końcu - To byłaby zdrada.

Jolanta Koral

Współpraca Jerzy Celichowski

Dla nas autorytety, a liderzy dla nich?

- ☀ Młodzi nie muszą rezygnować z rad tradycyjnych autorytetów.
- ☀ Mogą je za to porównać z innymi wartościami.
- ☀ I lepiej funkcjonują w obu światach

Małgorzata Kołaczek

Wostatnim dziesięcioleciu w Europie Środkowej powstało kilkaset romskich organizacji. 2004 rok i rozszerzenie UE były jak gwizdek startowy w wyścigu po pieniądze, prestiż, poprawę sytuacji i wizerunku Romów. Mety wciąż nie widać, a starszyzna obserwuje ten bieg przez płotki z trybun. Czy tradycyjne autorytety kibicują nowoczesnym liderom? I kto właściwie się załapał do reprezentacji?

George Soros, multimiliarder i filantrop, już w 2003 roku na konferencji w Budapeszcie mówił, że nowoczesny przywódca romski to ktoś, kto jest wyedukowany, kto pozostał Romem i kto potrafi być rzecznikiem swojej społeczności. Wykształcenie i umiejętność poruszania się w świecie większości są tu kluczowe. Autorytet starszych wiąże się z ich doświadczeniami i wiedzą życiową, a nie książkową. Coraz częściej jednak starszyzna widzi, że dotychczasowe sposoby działania nie wystarczają, aby się dogadać z nie-Romami. Dostrzega, że w tej kwestii wiele zależy od młodych liderów. Oni działają na zewnątrz, zdobywają pieniądze, walczą o swoje z władzami. Nowocześni przywódcy z kolei wiedzą, że bez wsparcia starszych często nie uda im się nic zrobić. Większość Romów z polskich organizacji pozarządowych, z którymi rozmawiałam podczas moich badań w latach 2009-2011, była zgodna - konfliktu czy sporu między tradycyjnymi a nowoczesnymi liderami nie ma, jeśli nowocześni liderzy przestrzegają tradycji i kultury. Ale czy to rzeczywiście wystarczy, żeby być efektywnym przywódcą romskim? I gdzie w tym wszystkim są „zwykli” Romowie?

A w liderze rośnie frustracja

Etniczna mobilizacja Romów w Polsce i całym regionie to fenomen całkiem nowy. Impuls temu procesowi dał upadek komunizmu, a dołączenie

10 nowicjuszy do 15 państw „starej” Unii pozwoliło mu zakiełkować na dobre. Wzrostu liczby romskich organizacji, podobnie zresztą jak wszystkich innych pozarządówek, nie inspirowały jedynie peany na rzecz demokracji, tolerancji, równych szans. Na ich działanie i mobilizowanie się miały wpływ pieniądze, całkiem spore. Do wywalczenia i od Unii, i z budżetu, bo każdy unijny złotodziób musiał pokazać w swojej polityce, jak bardzo pomaga mniejszościom.

Wraz z coraz większą liczbą stowarzyszeń, zrzeszeń i fundacji zaczęli się pojawiać liderzy. Część z nich działała od dawna, część zdobywała pierwsze szlify niemal dekadę temu. I tę różnicę zaczęli zauważać oni sami. - Są dwa typy liderów romskich. Jeden, ten tradycyjny, ma autorytet w społeczności, ale niekoniecznie jest aktywistą. Drugi typ lidera działa, ale niekoniecznie ma posłuch. Jeden powinien być społecznikiem, drugi jest społecznikiem. Wciąż jednak część liderów patrzy na własne korzyści. - To podobnie jak w polityce - powiedział mi jeden z przywódców romskich. Chciał pozostać anonimowy, podobnie jak inni, z którymi rozmawiałam.

Jaki więc powinien być Rom społecznik?

- Na pewno powinien być osobą, która potrafi funkcjonować w dwóch światach, w tym romskim i nieromskim. Która ma dużą odporność psychiczną. Społeczność jest zróżnicowana, dogodzenie wszystkim jest chyba niemożliwe. Wielu Romów sądzi, że jak ktoś jest liderem i spotyka się z ministrem, to na pewno ma dużo pieniędzy. I myślą sobie tak: „Prowadzisz organizację, a my nie mamy na węgiel, to co z ciebie za prezes”. I mają żal, roszczenia. A w takim liderze rośnie frustracja - robi dużo, poświęca czas, a wciąż ktoś ma do niego pretensje i coraz większe oczekiwania - jednym tchem wylicza moja kolejna rozmówczyni.

Dodać także należy, że często działania skierowane jedynie do Romów i finansowane z budżetów państw bądź organizacji międzynarodowych wywołują niechęć przedstawicieli społeczeństw większościowych, pogarszając i tak już trudne wzajemne relacje. To też młodym liderom pracy nie ułatwia.

Porozmawiamy z wami potem

Pretensje do nowoczesnych przywódców mają jednak nie tylko członkowie społeczności, dla których pracują albo przedstawiciele większości. Do nieporozumień i konfliktów dochodzi czasem między samymi liderami. Przyczyn nie trzeba szukać głęboko - zazwyczaj chodzi o dystrybucję i podział środków. Czy to z programu rządowego na rzecz społeczności romskiej, funkcjonującego w Małopolsce od 2001 roku, a od 2004 roku na terenie całego kraju, czy z „komponentu romskiego” w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki (2007-2013), dofinansowanego z EFS. Decydenci polityczni mogą bardzo łatwo manipulować i kontrolować małe organizacje romskie. Uzależniają je od siebie przyznawanymi pieniędzmi. Liderzy takich stowarzyszeń zazwyczaj tylko pozornie uczestniczą w podejmowaniu i wdrażaniu decyzji. Robią to, co się im powie. Zdarza się też, że organizacje powoływane są jedynie po to, by pozyskiwać środki finansowe dla założyciela i jego rodziny. Nie ma to wiele wspólnego z działaniem na rzecz choćby społeczności lokalnej.

Spory zdarzają się coraz częściej. Niektórzy liderzy publicznie głoszą, że na Romach zarabiają jedynie urzędnicy oraz kontrolowane i uzależnione od nich organizacje. Z kolei ci działacze, którzy pieniądze dostają, nazywają

niezadowolonych zazdrosnymi krzykaczami. Nie bez znaczenia są też indywidualne ambicje samych liderów - każdy z nich ma własną wizję, jaką drogą powinni pójść Romowie, z kim mogą współpracować, a z kim kooperować nie przystoi.

Władze mówią z kolei, że chcą mieć jeden głos romski, słuchać go i działać. Pracownicy administracji państwowej w prywatnych i publicznych wypowiedziach sugerują nawet, że romskich organizacji jest po prostu za dużo, że jest chaos, trudno się połapać, czego tak naprawdę ci Romowie chcą... Urzędnicy wiedzą, czego w przypadku działań na rzecz społeczności romskiej nie chcą - pluralizmu w tej grupie. Romowie stają się przedmiotem działań, a nie grupą partnerów, do których podchodzi się poważnie. Jak to zauważył Marcel Courthiade, znany romski językoznawca i aktywista, nie-Romowie „często reagują gniewem, gdy liderzy romscy się ze sobą spierają. I mówią: rozwiążcie najpierw problemy pomiędzy wami, a my porozmawiamy z wami potem. To idealny sposób, aby opóźnić działania na rzecz Romów czy nawet uniknąć dalszej z nimi współpracy. Taka postawa była popularnym fortem w kolonializmie, stosowanym w celu utrzymania europejskiej supremacji”.

Jednak w niektórych przypadkach sami romscy liderzy coraz częściej zdają sobie sprawę, że nie uciekną od przygotowywania pism, powoływania się na ustawy, od biurokracji i procedur. I młodzi tego nie unikają. Coraz częściej przejmują wzorce zachowań i metody zarządzania organizacjami od nie-Romów, coraz ważniejsze jest wykształcenie - klucz do zrozumienia mechanizmów funkcjonowania większości. Czasem tworzy to dystans między „starymi” autorytetami i „nowymi” liderami. To z kolei może utrudniać „nowoczesnym” pracę na rzecz ich społeczności, które wciąż uważają tradycyjnych liderów za swoje autorytety. Dlatego wielu działaczy zwraca uwagę na potrzebę kompromisu. - Potrzebny jest nam człowiek mądry, który nie będzie skłócał i tak małej liczby Romów w Polsce. Oczywiście, każde stowarzyszenie ma inny priorytet, ale powinniśmy współpracować, bo to jest nasze wspólne dobro. Nie możemy zapominać, że gadzie zawsze zazdrościli nam naszej solidarności i gotowości do bezinteresownej pomocy - stwierdza z przekonaniem liderka z grupy Polska Roma.

Liderki i pomocniczki lidera

Właśnie kobiety coraz częściej widać na pozarządowym romskim podwórku. Są aktywne, wykształcone. Role matek i działaczek opanowały do perfekcji. Tradycyjnym liderom romskim niełatwo zaakceptować taką postawę, bo stanowi ona poważne naruszenie organizacji wspólnot romskich. Kobieta-przywódczyni stoi w opozycji do kultury, zwłaszcza kultury Romów - tradycyjnie wędrownych, gdzie mężczyzna pełni rolę głowy rodziny. Starszyzną, która sprawuje pieczę nad społecznością romską i jest swoistym ciałem doradczo-sądowniczym, też tworzą mężczyźni.

Kobiety romskie wykazują się dużą aktywnością w tzw. III sektorze, ale częściej zostają liderkami w społecznościach od dawna prowadzących osiadły tryb życia. Jeśli angażują się w działalność społeczną bądź polityczną w strukturach tworzonych przez Romów z grup niegdyś koczowniczych, to zazwyczaj są pomocniczkami lidera - mężczyzny, przynajmniej oficjalnie. Nie ma jednak wątpliwości, że kobiet-działaczek będzie przybywać, bo jak mówi jedna z nich: - Wiadomo, że w społeczności romskiej mężczyzna de-

Małgorzata Kołaczek

Rocznik 1981, doktor nauk politycznych, autorka pracy doktorskiej „Etniczna mobilizacja Romów po rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 roku. Studium przypadku - Polska, Słowacja, Węgry”. Wykłada w Instytucie Studiów Regionalnych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Stypendystka programu Socrates/Erasmus, grantu Marii Skłodowskiej-Curie Komisji Europejskiej, International Leadership Visitor Program Departamentu Stanu USA, absolwentka studiów podyplomowych public relations w Wyższej Szkole Europejskiej im. Tischnera w Krakowie. Od wielu lat współpracuje z organizacjami romskimi, pomagając w tworzeniu projektów edukacyjnych i kulturalnych dofinansowanych z UE i budżetu państwa. Prowadzi także warsztaty i zajęcia ze studentami oraz przedstawicielami środowiska romskiego z zakresu m.in. historii i kultury Romów, public relations oraz pozyskiwania środków z UE.

cyduje. Ale jeśli kobieta jest w stanie coś dobrego zrobić i ma coś do powiedzenia, to czemu nie. A bez wątplenia do powiedzenia mają mnóstwo.

Pierwszy raz ktoś słucha

W jakim kierunku zmierza więc przywództwo w społecznościach romskich? Czy rzeczywiście prawdziwe okaże się stwierdzenie profesora Leona Dyczewskiego, że im wyższy poziom dobrego wykształcenia członków mniejszości etnicznej, tym większe znaczenie tej grupy w społeczeństwach, których są częścią? Przyjęcie modelu wychowania i rozwoju od większości jest wtedy nieuniknione.

A może zacząć przeważać radykalne opinie niektórych romskich liderów, takich jak wspomnianego już Courthiade'a, który stwierdził, że Romowie obecni w polityce w większości „zrezygnowali z tradycyjnej romskiej kultury politycznej (dialogu, kompromisu, mediacji w kierunku porozumienia, pojednania, traktowania rodziny i spójności grupy jako priorytetu)”. Co prawda manifestują romskość strojem i zachowaniem, ale nie ma w tym autentyczności. Robią wszystko, żeby przypodobać się gadziom. W tym widzą postęp, rozwój. Jednak tym samym traktują kulturę i tradycję romską jak anachronizm, przeżytek. Coś bezwartościowego. Pozwalają się „białym” formatować, kształtować na własne podobieństwo. A to zdaniem Courthiade'a obraza dla coraz bardziej docenianego dziedzictwa Romów.

Wbrew pozorom opozycja pomiędzy życiową wiedzą a uniwersyteckim przygotowaniem nie jest wcale nieunikniona. Młodzi nie muszą rezygnować z mądrości przodków i rad tradycyjnych autorytetów. Mogą je za to porównać z innymi systemami, wartościami. Dzięki temu dostrzegają walory i wady jednych i drugich. I lepiej funkcjonują w obu światach. Dlatego nie-rzadko obserwuje się współpracę młodych liderów ze starszyzną w realizacji działań na rzecz społeczności romskiej. Jednak bez wątplenia kwestia legitymizacji przywództwa wciąż będzie mieć wpływ na aktywność działaczy i sposoby reprezentowania społeczności na zewnątrz. Wciąż funkcjonuje podział: „liderzy dla nich” i „nasi zwierzchnicy”.

Ale ci „nasi” coraz częściej stawiają na młodych. - Edukacja robi swoje, ludzie wyedukowani, obojętnie z której grupy romskiej, obojętnie z której kasty Romów, bardzo do siebie się zbliżyli. I ci ludzie kiedyś doprowadzą do pełnej integracji. No i nie ma innej drogi. Jeżeli nie ci młodzi ludzie, to nikt - podkreśla Rom z Małopolski.

Rolą nowoczesnych liderów jest jak najlepsze wykorzystanie szansy, jakiej Romowie nie mieli nigdy. Chodzi nie tylko o duże pieniądze, które coraz sprawniej potrafią pozyskiwać. Po raz pierwszy w historii ktoś ich słucha. Czasem nieuważnie, czasem z lekceważeniem, ale jednak. Nigdy wcześniej nie mogli wykorzystywać dostępnych instrumentów i domagać się od władz krajowych i europejskich tworzenia kolejnych, skuteczniejszych. Trzeba być głośnym, zdecydowanym, przygotowanym. Rzeczywistość zmienia się nieustannie, muszą za nią nadążyć, żeby wyjść z marginesu. Nie jest to ani łatwe, ani przyjemne. Ale tradycyjne autorytety mają przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie: tak pokierować swoimi współbraćmi, aby potrafili połączyć romską tożsamość z codziennym życiem w społeczeństwach nowoczesnych. To oni kreują romskość XXI wieku. A młodzi mogą im stworzyć do tego takie warunki, jakich nawet najstarszy Rom nie pamięta.

Małgorzata Kołaczek

“
Król idzie,
a królowa
z boku
”

☼ Kobiety mają dużo do powiedzenia, nie boją się, że je starszyzna zruja. ☼ Ale to mężczyźni powinni rządzić - mówi radomska liderka **Adela Głowacka** w rozmowie z Katarzyną Boni



Adela Głowacka, Radom, 2012 r.

Fot. Piotr Wójcik

Pani mama zrzuciła fartuch?

- Nawet nie zauważyłam kiedy.

O co chodziło z tymi fartuchami?

- Fartuszek był przywiązany do kobiety romskiej. Szyło się je samemu - jednokolorowe, ciemne, żeby nie odcinały się od stroju. To nie był fartuszek kuchenny, choć używało się go również w kuchni albo przy palenisku. Służył za torebkę - miał kieszonki, do których wkładało się karty do wróżenia, pieniądze. W latach 80. Romki stopniowo rezygnowały z fartuchów poza domem. To była poważna sprawa, mówiło się, że bez fartuszka to już nie-Cyganka. Musiała w tym być odwaga. Dziś znam tylko jedną kobietę, młodszą ode mnie, która i w domu, i na ulicy nosi fartuch.

Fartuchy osłaniały spódnicę, której dotknięcie kala sprzęty i ludzi. Pozbycie się ich było pierwszym krokiem do emancypacji?

- Bardziej do pomyślenia o sobie. Fartuchy są na mieście po prostu niepotrzebne.

Co jeszcze zmieniło się w życiu romskich kobiet?

- Kiedyś utrzymywały całe rodziny. Pomimo to ich zdanie było mniej ważne. Dziś rozumiemy, że życie idzie do przodu. Ale czasem mi się wydaje, że ta emancypacja zmierza w złą stronę. Owszem, kobieta musi poczuć, że nie może być dłużej podnóżkiem. Ale nie powinna przekraczać norm: pokazywać, że jest ważniejsza od mężczyzny, zabierać niepotrzebnie głos na zgromadzeniu. Choć z drugiej strony, to czasem ratuje jej Roma, który nie ma nic do powiedzenia. To jak z dyplomacją - trzeba wiedzieć, kiedy i co jest dobre.

Mężczyźni przekraczają normy?

- Oczywiście. Kiedy idą w narkotyki, mają kochanki, porzucają rodziny. To nie do przyjęcia.

Ale jednak rządzą.

- U nas mężczyźni zawsze byli ważniejsi, a kobieta szła dwa kroki z tyłu. Król idzie, a królowa zawsze z boku. Wie pani, jak jest z władzą: mężczyzna to głowa, a kobieta kark. Ale to mężczyźni powinni rządzić.

Dlaczego?

- Bo się nie przyzepiają do drobnostek. Działają konkretnie.

Mężczyzna rządzi, a kobieta?

- Skutecznie i dobrze podpowiada. Łagodzi sytuacje. Wiele się zmienia, kobieta ma dużo do powiedzenia i mężczyzna często się dostosowuje. Ale jak mężczyźni rządzili, to nie było nieporozumień. Kobieta potrafi wciskać drobne szpilki. Po co? Jak masz coś komuś do powiedzenia, to mów to prosto w oczy.

Dziś kobiety też zostają liderkami.

- I wychodzą na pierwszy plan. W romskich stowarzyszeniach widać, że kobiety mają bardzo dużo do powiedzenia. Mają większą odwagę, nie boją się, że je starszyzna zrużga. Moim zdaniem kobieta-liderka większą uwagę zwraca na potrzeby domowe, lepiej czuje biedę i niedostatek. Poza tym podchodzi do romskich spraw nie urzędniczo, a po ludzku, ciepło. Plusem jest to, że kobiety są milej widziane w urzędach.

Czy to początek równouprawnienia?

- Nadal kobieta musi mieć pozwolenie swojego Roma, żeby działać. Krystyna Markowska - Perełka z Łodzi powtarza, że szczęśliwie się jej życie ułożyło, bo mąż jest wyrozumiały i nie tylko pozwala jej pracować społecznie, ale jeszcze wspiera. A Perła przy całym swoim zaangażowaniu potrafi zachować romską tożsamość.

Młodzi identyfikują się dziś z romanipen?

Adela Głowacka

- radomska liderka lokalna.

Inicjatorka budowy pierwszego w Polsce Europejskiego Centrum Edukacji i Kultury Romów.

Współautorka bajek.

Opiekunka radomskiego cmentarza żydowskiego.

W 2011 roku została wybrana do Złotej Dziesiątki Kobiet Sukcesu Mazowsza.

Członek Honorowy Radomskiego

Stowarzyszenia Romów

„Romano Waś”,

w którym pomaga

organizować kursy

wyrównujące szanse

na rynku pracy romskich

kobiet i mężczyzn

“
Młode siedzą
na internetach,
puszczają fotki,
bzdury
opowiadają
na Gadu-Gadu.
To niesmaczne
”

- Są grupy, które przywiązują wielką wagę do zasad. Dziewczyny chodzą tradycyjnie ubrane, czasem bardziej niż ja. W takiej sukience z odkrytymi ramionami pokazują się, bo jestem u siebie, bo mi gorąco. Ale jakby wszedł ktoś z Romów, to musiałabym włożyć bluzkę z rękawem.

A gdyby przyszedł Polak?

- To niekoniecznie.

Niektóre dziewczyny są bardziej tradycyjne od Pani. A inne?

- Wyłamują się - bo poszły do szkoły albo na studia. Niektóre młode, jak poczuły wolność, to idą na całość. Pojawia się ten sam trend, co u Polek - wcześniej zaczynają życie intymne. Do tego zabiegają - wręcz namolnie - o mężczyznę. Siedzą na internetach, puszczały fotki, bzdury opowiadają na Gadu-Gadu. To denerwujące i niesmaczne. Zapominają, z jakiego środowiska pochodzą i szkodzą temu środowisku. To jak z naszą demokracją, trzeba do niej dorosnąć.

A jak jest z romską demokracją?

- Dla Romów wciąż najważniejsi są tradycyjni przywódcy - Szero Rom i starszyzna. Autorytety poparte ogromnym doświadczeniem i obdarowane dużym zaufaniem, choć nie zawsze mają u młodych posłuch. Nasi zwierzchnicy często nie są wykształceni, niektórzy nie potrafią czytać i pisać. Dlatego nie mogą reprezentować nas na międzynarodowym forum. To miejsce dla nowoczesnych liderów - wyedukowanych, po studiach. Niestety, oni zazwyczaj są zbyt zajęci własną karierą, żeby poświęcać czas zwykłym Romom. Sama spotkałam się z brakiem wsparcia. Działacze, na których winnam móc liczyć - przecież czasem wystarczyłoby jedno ich słowo, merytoryczna odpowiedź, żeby oszczędzić mi lat pracy - nie pomogli. Dopóki nie będą bliżej Romów, nie zainteresują się prostym człowiekiem, to nie znajdą wśród nas posłuchu. Romowie nie oczekują lidera nowoczesnego. Nie patrzą na wykształcenie, tylko na zachowanie.

Teraz działaczom brak autorytetu, ale może pojawią się inni?

- Są Romowie, którzy mogliby reprezentować nasze sprawy przed większością, ale się nie przyznają do swoich korzeni. Znam genialnego chłopaka: skończył studia, jest niezwykle inteligentny, jak się z nim rozmawia, to spokój spływa na człowieka. Ale nie zna języka romskiego. Na studiach nie przyznawał się, że jest Cyganem, bo jeden profesor był rasistą. A co go to obchodzi? Przecież chłopak był wybitnym studentem. Właśnie w takich momentach powinien podkreślać, kim jest. Jeśli tacy ludzie wymazują swoją tożsamość, to jak mamy znaleźć nowych liderów?

Może powinniście wybierać ich demokratycznie?

- Dla większości Romów liczy się tylko władza tradycyjna. I akurat Szero Roma wybiera się na zgromadzeniu. Nie może być tak, że ktoś się ogłosi Szero Romem. To musi być osoba nieskalana.

A liderzy lokalni?

- Prowadzą fundacje i stowarzyszenia. Załatwiają dotacje z pieniędzy unij-

nych albo od państwa. Często nie są wykształceni, choć ostatnio to się zmienia, bo w organizacjach pojawia się coraz więcej młodych ludzi. Mimo że są bardziej otwarci na kontakt ze zwykłym człowiekiem, to nadal nie mają wielkiego posłuchu wśród Romów.

Czemu?

- Bo ich funkcja nie jest uświęcona wiekiem. Sami mianują się prezesami. Środowisko nie wnika w to, bo nie widzi takiej potrzeby.

Jakiej pomocy oczekują Romowie?

- Wcześniej pomoc zawsze wyglądała tak, że zbierano jedzenie i trochę pieniędzy dla biedniejszych albo chorujących. I dziś są takie same oczekiwania. Romowie uważają, że jak jest organizacja, to powinna rozdawać pieniądze. To problem wszystkich stowarzyszeń. Przecież nie będą rozdawać pieniędzy z własnych środków.

Łatwo być liderem?

- Niełatwo. Ludzie czasem się na czymś nie znają i niesłusznie pomawiają. Nasze *Radomskie Stowarzyszenie Romów „Romano Waśt - Pomocna Dłoń”* starało się przez kilka lat o ziemię przy ulicy Kozienickiej. Tam przez pół wieku żyli Romowie, osiedlali się w barakach, szatrach, rozstawiali w lesie tabory. Do tej pory, jak zamknę oczy, widzę to tętniące życie Romów. Chcemy przy Kozienickiej wybudować Europejskie Centrum Edukacji i Kultury Romów. Pytałam radomskich Romów, co o tym sądzą i jak mogą pomóc. Najczęściej słyszałam: „A po co nam centrum? Bloki trzeba budować”. Ręce opadają. „Człowieku, co ty mówisz? Jest XXI wiek i musimy mieć coś swojego”. Ale skąd oni mają wiedzieć, że takie centrum jest nam potrzebne, skoro ogólnopolscy liderzy nie mają takiej świadomości?

To musi być frustrujące: robi Pani coś dla społeczności, ale jakby obok i pomimo.

- Ale nie wbrew. Byłam u Szero Roma Henryka Kozłowskiego „Nudzia” w Nowym Dworze. Zaczęłam od tego, że chcę przetłumaczyć na romski nasze bajki spisane po polsku przez Zenona Gierałę w latach 90. Nie zgodził się. Pomyślałam: „Może nie dorosliśmy jeszcze do tego, trudno, ja bez bajek przeżyję”. Pokazałam mu plany Centrum i pozwolenia na budowę. Był przeciw. Więc powiedziałam: „Słuchajcie, my nie wyciągamy Romom pieniędzy z kieszeni. Zabiegamy u władz, piszemy wnioski. Na nic innego Romom nie dadzą, a na to mogą. Jeśli władze pozwolą budować, to będzie budowane. Grzechem byłoby nie skorzystać. I nikt mi tego nie zabroni”. I tak się zakończyła nasza rozmowa.

Niektóre rzeczy człowiek musi rozstrzygnąć w swoim sumieniu.

Milczenie oznacza zgodę?

- Skoro nie usłyszałam wprost, że mi nie wolno, bo zostaną skalana, to traktuję je jako przyzwolenie. Myślę, że Szero Rom rozumie, że takie Centrum jest potrzebne. Ale trudno być Szero Romem, trudno królować.

Czy nie byłoby dobrze, gdyby do starszyny należały również kobiety?

- Oczywiście. I kobiety już są w starszynie - może nie z nazwy, raczej to

“
Liderzy lokalni
nie mają
wielkiego
posłuchu wśród
Romów,
bo ich funkcja
nie jest
uświęcona
wiekiem
”

wynika samo z siebie. Kobieta bierze udział w zgromadzeniach, normalnie się wypowiada, nikt jej nie przerywa. Myślę, że - nieważne, kobieta czy mężczyzna - jeśli ktoś ma coś mądrego do powiedzenia, to inni go słuchają.

„Łoci” - poprzedni Szero Rom, ojciec obecnego - miał siostrę, którą bardzo szanowaliśmy. Wszyscy chodzili do niej po radę. Mieszkała w Opolu. Kiedy odwiedzałam moją ciotkę, czasem ją spotykałam. Czulo się w niej dostojność, emanował z niej wielki spokój.

Są dzisiaj jakieś liderki, które Pani ceni?

- Wspomnianą już Krystynę Markowską z Łodzi. I Izę Stankiewicz z Elbląga. Iza jest asystentem edukacji i przy dużej pomocy władz polskich organizuje wiele wydarzeń. Wydała album zapomnianych fotografii, robi scenę teatralną z bajkami romskimi, zorganizowała ogólnopolski konkurs plastyczny dla dzieci romskich i warsztaty. Ma chorego syna, a i tak znajduje na to wszystko czas.

W swojej społeczności to Pani jest liderką.

- Ja się nie czuję liderką.

Ale dużo Pani robi: organizuje Pani budowę Europejskiego Centrum Edukacji i Kultury Romów, zabiegała Pani o mikropożyczki dla rodzin romskich (ten projekt nie doszedł do skutku, bo w ostatniej chwili wycofała się organizacja sponsorująca), opiekuje się Pani cmentarzem żydowskim, działa Pani w stowarzyszeniu...

- Ojciec nauczył mnie wrażliwości na potrzebę drugiego człowieka. Może nie byliśmy najbogatsi, ale nigdy nie brakowało nam na kawałek chleba. I zawsze z Romami byliśmy blisko. W szkole podstawowej byłam harcerką. Pamiętam, jak przez miesiąc przychodziłam to starszej pani - Polki - która miała wypadek. Gotowałam jej, sprzątałam, zajmowałam się domem. Nie wiem, jak można nie dostrzegać drugiego człowieka i jego potrzeb. W działaniu wobec innych widać, kto jest bezinteresowny, a kto działa dla splendoru.

Ale w stowarzyszeniu to nie ja jestem prezesem. Mam 58 lat i trudno mi je prowadzić. Będę zawsze służyć pomocą, ale chcę, żeby funkcja prezesa i wiceprezesa przywiązała do stowarzyszenia Agnieszkę Caban i Julitę Bogdanowicz. Żeby czuły jak ja, choć obie są z rodzin mieszanych. Agnieszka zna język, ale nie mówi po romsku. Powtarzam, że musi, jeśli czuje się Romką. A Julita wcześniej nie miała doświadczenia z Romami - jej ojciec odszedł, kiedy była mała. Choć zewnętrznie jest bardzo do Romów podobna, nawet bardziej śniada ode mnie.

Jak są odbierane przez romskie środowisko?

- Romowie znają je z ich działalności i traktują normalnie. Obydwie przywiązują wielką wagę do tradycji. Agnieszki nie widziałam w krótkiej spódniczce. Może jak gdzieś wyjeżdża na wakacje, to wkłada spodnie, ale przy nas nigdy. A Julita uczy się naszych zwyczajów. Pracuje w urzędzie i dużo Romom pomaga. Ma przyjemny sposób bycia, więc ją lubią. Dla Romów to ma znaczenie, że dziewczyny są młode i ze środowisk mieszanych, ale dopóki się dobrze wywiązują ze swoich obowiązków, to budują do siebie zaufanie.

A Pani czuje się Romką czy Polką?

- Pochodzę z romskiej rodziny, ale czuję się też Polką. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Myślę po polsku. Ale przede wszystkim jestem Romką. Rozgraniczenie pojawia się wtedy, kiedy ktoś źle Romów traktuje. Wtedy się burzę. Kiedyś w szkole uczeń z mojej klasy wołał za mną: „Ty Cyganicho”. Dostał ode mnie w twarz i przestał. Inni mnie nie wyzywali, bo pisałam za nich wypracowania z polskiego. A kiedy przyszedłam do szkoły, to nie mówiłam słowa po polsku! Moja nauczycielka pokazywała mi w bibliotece bajki. Zainteresowałam się rysunkami i tak się wciągnęłam.

Woli Pani słowo Cyganka czy Romka?

- Używam ich wymiennie, Cyganka - kiedy mówię o przeszłości. Ale wolę to określenie. Romka jest dla mnie obce. Tym bardziej że u nas na kobietę mówi się Romni. Rom znaczy mężczyzna, Romni - kobieta. Romka to nieszczęśliwa zbitka dwóch języków. Pomyłka.

Wspomina Pani o przeszłości. Jaki jest stosunek Romów do historii?

- My nie mieliśmy pisanej historii, dlatego historia nas niespecjalnie interesuje. Pamiętamy tyle, ile obejmuje nasza pamięć. Ale dla mnie historia jest ważna. W mojej rodzinie przywiązywano wagę do tego, żeby wiedzieć, skąd jesteśmy.

Smutno mi, że my, Romowie, nie potrafimy odnajdywać mogił zamordowanych podczas wojny. Mam klucz do cmentarza żydowskiego, często towarzyszę ludziom, którzy przyjechali zobaczyć groby swoich zmarłych, których, zdarza się, nawet nie znali. Raz przyjechała kobieta aż z Australii, bo dziadek ją prosił, żeby odwiedziła groby jego ojca i matki. Tak pięknie się modliła, tak żarliwie, tak płakała! A ja razem z nią. A przecież ona Holokaustu nie przeżyła. Jaka ta pamięć jest mocna!

Romski Holokaust też ujrzał światło dzienne, ale jego historia nie jest tak silnie nam przekazana. Dobrze by było stworzyć jakieś miejsce, w którym można by przeżywać i czcić pamięć naszych zmarłych. Ale to jest zadanie dla nowoczesnych liderów.

Wróćmy do bycia liderką. Mężczyźni Pani słuchają?

- Wszystko zależy od tego, jakich argumentów się używa. Pomaga silny charakter. Jak do czegoś dążę, to tak serdecznie, naturalnie, że chcą mnie słuchać. Poza tym nie robię nic złego.

A kobiety?

- Tu też wszystko zależy od argumentów. Namawiam je, żeby się edukowały, żeby korzystały z kursów, które organizujemy z funduszy europejskich. Na kursach zdobywają wiedzę o świecie. Tłumaczę: „To ci się przyda, za procentuje w przyszłości, będziesz miała pieniądze”. Kobieta musi być niezależna.

Skąd pomysł na kursy?

- To odpowiedź na sytuację, w której żyją kobiety. Dzisiaj trudniej zdobyć pieniądze, nikt nie chce wróżb. Do tego Romki z Polski są bardziej tradycyjne od tych z zachodniej Europy. Chcą być matkami, dobrymi żonami, zabezpieczać byt rodziny. Tyle że teraz to mężczyźni wzięli się za handel -

samochodami. Nie ma ich całymi tygodniami w domach, wyjeżdżają za zarobkiem. Te domy są w okropnym stanie. Ludzie siedzą i nic im się nie chce. Marazm straszny.

Kursy mają wyrwać z marazmu?

- Tak. Tym bardziej że kobiety chcą się edukować. Ale dziewczyny, które do nas przychodzą, mają niecałe dwadzieścia lat, rodzinę, dzieci. Ciężko je zmobilizować: dziecko chore, mąż pojechał na giełdę. Albo mąż powie: „Zgłupiałaś, gdzie ty latasz?”. Kobiety nie mają jeszcze siły przebicia, żeby stwierdzić: „Teraz muszę się sobą zająć”. Więc najczęściej trafiają do nas takie, które albo nie mają zobowiązań, albo mają rozumiejącą rodzinę. Albo jest im bardzo ciężko i tylko od nich zależy życie rodziny.

Organizujecie kursy tylko dla kobiet?

- Nie, ale to głównie kobiety w nich uczestniczą. Mężczyźni przychodzą na kursy na prawo jazdy albo z obsługi wózków widłowych. Na fryzjerskim było tylko dwóch. Reszcie rodzina odradzała, bo co: będą kobietom włosy strzygli? A nie pomyśleli, że mężczyźni też trzeba obcinać.

To wynika również z tego, że mężczyzna często ma jakąś pracę, a kobieta zostaje w domu. Dlatego stawiamy na kobiety - chcemy, żeby się czegoś nauczyły. Tylko że kursy to za mało. Pracy i tak nie ma, więc może powinnyśmy zapewnić im jakiś zastrzyk finansowy? Żeby miały z czego zacząć własny biznes. No, ale jeszcze trochę czasu minie, zanim nasze kobiety zaczną robić dla siebie coś pożytecznego.

Jakieś historie z sukcesem?

- Jest kilka kobiet, które chodziły do nas na kursy i zaczęły się uczyć. Jedna ma już czterdzieści lat i teraz zdawała maturę. Druga, po trzydziestce, też zrobiła maturę i nawet myśli o czymś dalej. Pracują prywatnie - otworzyły budkę na targu.

Co na to ich mężowie?

- Jedna ma dwoje dzieci i jest sama, a ta druga nigdy nie wyszła za mąż. Chyba takim osobom łatwiej.

Jak jest postrzegana samotna Romka?

- Coraz częściej dziewczyny są świadome, że wczesne założenie rodziny wiąże się z kłopotami, trudno zdobyć pieniądze na życie. I nie wychodzą już tak wcześnie za mąż jak kilkanaście lat temu. Ale nadal nieczęsto spotyka się samotną Romkę. Ja jestem samotna. Na początku wszyscy się dziwili, myśleli, że coś ze mną nie w porządku. Ale przez tyle lat to się z tym pogodzili.

Nie chciała Pani zakładać rodziny?

- Tak mi się życie ułożyło, że jestem sama, bez drugiej połówki. Jedyne, czego żałuję, to to, że nie mam dzieci. Przelewam całą miłość na dzieci braci i siostr. Może dlatego zajęłam się tym, co robię?

Rozmawiała Katarzyna Boni

“
Nieczęsto
spotyka się
samotną Romkę.
Ja jestem
samotna.
Na początku
wszyscy się
dziwili
”

Polityka, pamięć, przyszłość: ruch romski w XXI wieku

☸ Dziś czasem trudno powiedzieć, kogo właściwie reprezentują romskie organizacje. ☸ Pomimo rozbudowanych struktur i ogromnych nieraz ambicji ich przywódców pojawia się pytanie o to, kto ich wybrał, kto udzielił im mandatu do reprezentowania danej społeczności. ☸ Nie formułują one konkretnego i realistycznego celu, z którym mogłyby się identyfikować rozmaite grupy - o historii i problemach romskiego ruchu politycznego pisze

Sławomir Kaprański

Za korzenie romskiego ruchu politycznego można uznać I Międzynarodowy Kongres Romów, który odbył się w kwietniu 1971 roku w Orpington pod Londynem. Spotkało się wtedy 23 romskich działaczy z 14 krajów. Na pamiątkę tego wydarzenia co roku obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Romów. Jednak proces romskiej mobilizacji i samoorganizacji rozpoczął się jeszcze przed drugą wojną światową, ale został przez nią dramatycznie przerwany. Od lat 60. ubiegłego wieku nabrał przyspieszenia i stał się zjawiskiem ponadnarodowym. Jego istotnym elementem było powstanie rom-

skich elit politycznych i intelektualnych. Upadek komunizmu w Europie Wschodniej zintensyfikował kontakty między Romami ze wschodu i zachodu Europy, co umożliwiło powstanie transnarodowego romskiego ruchu politycznego. Do ukształtowania celów romskich organizacji: podmiotowości politycznej, polityki tożsamości, walki o prawa człowieka i poprawę warunków materialnych (choć niekoniecznie w takiej kolejności) przyczynił się ruch praw człowieka, który zainteresował się Romami jako dyskryminowaną mniejszością w Europie Wschodniej. Romski ruch polityczny był jedną z odpowiedzi na problemy społeczności cygańskich po drugiej

wojnie światowej - w nowej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej zmieniły się również podstawy egzystencji Romów. To wymagało wypracowania przez nich nowych wariantów współżycia z nieromskim otoczeniem, nowych strategii przetrwania, nowych form działania zbiorowego, a wreszcie - nowego samookreślenia. Upadek systemu komunistycznego dał Romom możliwość organizowania się, ale niestety, radykalnie zmienił ich warunki życia: zostali pozbawieni swoich nisz ekonomicznych, które umożliwiały im przeżycie w systemie komunistycznym, a także niewielkiej wprawdzie, ale jednak istniejącej ochrony ze strony państwa. W rezultacie udziałem wielu romskich społeczności w Europie Wschodniej stały się bezrobocie, nędza, wykluczenie społeczne i dyskryminacja.

Powstanie romskiego ruchu politycznego oznaczało negację strategii izolacjonistycznych, polegających na tym, że broni się romskiej tożsamości poprzez uszczelnianie granicy dzielącej Romów i nie-Romów. Zdaniem wybitnego romskiego intelektualisty Iana Hancocka złożona struktura nowoczesnych społeczeństw sprawia, że takie strategię są coraz mniej skuteczne. „Niektórzy Romowie - pisał 20 lat temu - zaczynają przyjmować do wiadomości fakt, że integracja nie musi oznaczać asymilacji i że zdobycie umiejętności właściwych głównemu nurtowi życia społecznego oraz zastosowanie ich w ramach społeczności romskich nie musi w żaden sposób zagrażać ich tożsamości, może natomiast pomóc im kontaktować się z otoczeniem na równych prawach”. Integracja może dla Romów oznaczać w szczególności bardziej skuteczną walkę o uznanie ich odrębności jako społeczności, której atrybutem jest między innymi posiadanie własnej, prawomocnej, bolesnej historii.

Romowie się organizują

W okresie międzywojennym zaczęły powstawać romskie organizacje, na przykład w Rumunii (Powszechne Stowarzyszenie Romów, utworzone w 1926 roku i przekształcone później w ogólnokrajową Unię Generalną Romów Rumunii), w Grecji (panhelleńskie stowarzyszenie Cyganów greckich Ellinon Athinganon, założone w 1939 roku i istniejące do dziś) czy w ZSRR, gdzie działalność utworzonego pod kontrolą państwa w 1925 roku Wszechrosyjskiego Związku Cyganów została

wsparta oficjalnym uznaniem istnienia narodowości cygańskiej i stworzeniem alfabetu w cyrylicy dla języka romskiego. Publikowano w nim pierwsze pisma romskie: „Romani Zoria” i „Nevo Drom”. Tuż po wojnie aktywność polityczna Romów w Europie Zachodniej była bardzo ograniczona, co Ian Hancock interpretuje jako objaw lęku przed publicznym deklarowaniem własnej tożsamości, zrozumiałym w kontekście represyjnych przepisów prawnych, a zwłaszcza w kontekście pamięci o niedawnej Zagładzie. Ci, którzy jej uniknęli, niechętnie deklarowali swoją etniczność.

W komunistycznej Europie Wschodniej organizacje romskie stanowiły często pole konfliktów między wymaganymi serwitutami na rzecz władz a pracą dla poprawy romskiego losu.

Sytuacja w Europie Zachodniej zaczęła się zmieniać w latach 50., gdy w 1952 roku bracia Oskar i Vincenz Rose założyli Verband der Sinti Deutschlands, a żyjący we Francji rumuński Rom Ionel Rotaru (znany także jako Vaida Voivod) założył międzynarodową organizację, wspieraną między innymi przez rozsianych po świecie licznych członków rodu Kwieków. W jej ramach rozwijał swe idee „cygańskiego państwa” i drukował specjalne romskie paszporty, ale też upominał się o odszkodowania wojenne, zniesienie antyromskich regulacji prawnych, poprawę sytuacji edukacyjnej romskich dzieci i rozwój literatury w języku romani.

W Wielkiej Brytanii od 1966 roku działał Gypsy Council, który wielokrotnie zmieniał nazwy i przekształcał się w inne organizacje broniące brytyjskich Cyganów i Wędrowców przed nadgorliwością policji i niekorzystnymi rozwiązaniami prawnymi, dotyczącymi na przykład użytkowania dróg i miejsc postojowych.

We Francji w latach 60. i 70. powstało kilka organizacji zrzeszających różne grupy Cyganów. Jedną z najważniejszych był utworzony w 1965 roku Międzynarodowy Komitet Cyganów pod przewodnictwem Vanko Roudy. Zrzeszał organizacje z różnych krajów, wydawał czasopismo i nawiązał współpracę z organizacjami międzynarodowymi, w tym z Radą Europy i UNESCO.

Właśnie ta organizacja, we współpracy z Gypsy Council, zorganizowała w kwietniu 1971 roku w Orpington spotkanie aktywistów romskich i wspierających ich nie-Romów z różnych krajów, znane później jako I Światowy Kongres Romów.

Symbole narodowe i własna historia

Kongres zapoczątkował tworzenie instytucjonalnych ram międzynarodowego ruchu romskiego, których ucieleśnieniem było założenie w 1977 roku Międzynarodowej Unii Romskiej (International Romani Union, w skrócie IRU).

Kongres stworzył też jedną z pierwszych okazji do spotkania aktywistów romskich ze wschodu i zachodu Europy, dzięki uczestnictwu dość licznej i aktywnej grupy działaczy z Czechosłowacji i Jugosławii. Przyjęto wtedy romski hymn i flagę: niebiesko-zieloną, z czerwonym kołem w kształcie indyjskiej czakry o 16 promieniach.

Historia tej flagi rozpoczyna się w 1933 roku, gdy jej pierwsza wersja, jeszcze bez koła, została zaakceptowana podczas zorganizowanej w Bukareszcie konferencji „Zjednoczeni Cyganie Europy”. W 1969 roku Międzynarodowy Komitet Cyganów przedstawił Radzie Europy flagę o podobnej formie. To pokazuje ciągłość wysiłków na rzecz ustanowienia symboli narodowych, dowodzi także, iż Romowie wcześniej uświadamiali sobie ich znaczenie.

Uczestnicy kongresu obradowali w czterech komisjach. Jedną z nich zajmowała się kwestią odszkodowań za prześladowania, jakich Romowie doznali w czasie drugiej wojny.

Potępiono używanie w stosunku do Romów takich określeń jak Cyganie, Zigeuner czy Gitanos, co spowodowało zmianę nazwy Międzynarodowy Komitet Cyganów na Międzynarodowy Komitet Romów. Ustalono też, że 8 kwietnia będzie obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Romów. Jak widać, główne wysiłki kongresu koncentrowały się na wypracowaniu symboliki narodowej, zaś ustalenie daty obchodów rocznicowych świadczy o dążeniu do tworzenia własnej historii, historii wydarzeń ważnych z romskiego punktu widzenia i znaczonej własnymi rytuałami uobecniającymi przeszłość w teraźniejszości. Zajęcie się kwestią prześladowań Romów w czasie wojny miało bardziej praktyczne znaczenie, ale też dowodziło, że romscy aktywiści mają zamiar walczyć o redefinicję historii zgodnie ze swoim własnym rozumieniem przeszłości.

W 1979 roku na terenie byłego obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen odbyła się międzynarodowa uroczystość upamiętniająca romskie ofiary Zagłady. Miała ona także charakter polityczny: jej celem było między innymi zwrócenie

uwagi na prześladowania Sinti i Romów w RFN. Organizatorami wydarzenia były: Związek Niemieckich Sinti, Międzynarodowa Unia Romska i nieromskie Stowarzyszenie na rzecz Zagrożonych Narodów. W uroczystości uczestniczyli Romowie z Francji, Anglii, Szwajcarii, krajów skandynawskich, Belgii, Holandii, Jugosławii, Grecji i Włoch. Delegat władz niemieckich po raz pierwszy uhonorował cygańskie ofiary III Rzeszy, a rangi uroczystości dodawała obecność Simone Weil, przewodniczącej Rady Europy, byłej więźniarki Bergen-Belsen.

Strajk głodowy rozpoczęty 4 kwietnia 1980 roku na terenie obozu koncentracyjnego Dachau, w którym uczestniczyła grupa kilkunastu niemieckich Sinti, w jeszcze bardziej dramatyczny sposób budował historyczną świadomość Romów i łączył przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Główne postulaty strajkujących dotyczyły oficjalnego uznania przez władze zbrodni popełnionych na Sinti i Romach przez nazistów, wypłacenia stosownych odszkodowań i stworzenia centrum kulturalnego Sinti w Dachau. Strajk spotkał się z ogromnym zainteresowaniem dziennikarzy, dlatego władze po ośmiu dniach przystąpiły do negocjacji. Przywódca niemieckich Sinti, Romani Rose, określił je jako sukces, bo choć rząd nie zaakceptował postulatów, protestujący upublicznili swoje problemy.

My, Naród Romski

Strajk był dla wielu niemieckich Sinti impulsem do wyjścia z ukrycia: zaczęli się określać publicznie jako członkowie grupy o określonej i odrębnej od innych tożsamości, ukształtowanej między innymi przez doznane w przeszłości nazistowskie prześladowania.

Działacze Międzynarodowej Unii Romskiej realizowali podobną wizję narodu, odwołując się do ogólnoromskiej koncepcji jedności o charakterze ponadnarodowym. Jednym z jej elementów są wspólne korzenie Romów. Innymi elementami, wymienianymi przez Andrzeja Mirgę i Nicolae Gheorghego, są: „wspólne doświadczenie historyczne i perspektywy [na przyszłość]”, w szczególności doświadczenie „romskiego Holokaustu w czasie drugiej wojny światowej”, „wspólnota kultury, języka i położenia społecznego”, a wreszcie samo pojęcie „narodu romskiego jako idei politycznej”, które jest akceptowane „przez rom-

skie elity, pomimo że w rzeczywistości taka wspólnota [narodowa] może być niezmiernie zróżnicowana”.

Deklaracja Narodu Romskiego, wydana przez Międzynarodową Unię Romską w 2000 roku, zawiera te same elementy, aczkolwiek przedstawione w bardziej zdecydowany sposób: „My, Naród, którego ponad pół miliona członków zostało wymordowanych w zapomnianym Holokauście, Naród składający się z jednostek zbyt często dyskryminowanych, marginalizowanych i będących ofiarami nietolerancji i prześladowań, mamy marzenie i jesteśmy zaangażowani w jego realizację. Jesteśmy Narodem, mamy wspólną tradycję, tę samą kulturę, takie samo pochodzenie, ten sam język; jesteśmy Narodem”.

Deklaracja podkreśla, że „transnarodowy” naród romski nie domaga się posiadania własnego państwa. To „historyczne zrzeczenie się poszukiwania państwowości” jest traktowane jako romski wkład we współczesną historię świata, która charakteryzuje się malejącą rolą państw narodowych i rosnącym znaczeniem podmiotów ponadnarodowych oraz nowych form reprezentacji, opartych na instytucjach ponadnarodowych. Innymi słowy, kultura, historia, położenie społeczne (obejmujące zarówno sytuację ekonomiczną, jak i dyskryminację Romów) oraz idea polityczna są głównymi czynnikami, do których w różnych proporcjach odwołują się romscy aktywiści, przedstawiając rozmaite wizje romskiego narodu.

Politycy i obywatele

Jednym z ważniejszych elementów wizji przeszłości, która ma posłużyć budowaniu romskiej tożsamości narodowej, jest pamięć Zagłady. Również i ta pamięć nie jest „żywym wspomnieniem” wszystkich Romów. Z wielu względów (różne doświadczenie historyczne poszczególnych grup czy brak możliwości rozpowszechniania wiedzy historycznej) Romowie nie mogli wytworzyć spontanicznej „wspólnoty pamięci” zogniskowanej wokół tragicznych wojennych wydarzeń. Dlatego romskie elity i organizacje tworzą tę wspólnotę - często we współpracy z nie-Romami - poprzez szereg uroczystości upamiętniających Zagładę. Według znanego romskiego działacza, Nicolae Gheorghego, podstawą emancypacji stają się dla Romów działania ich ruchu politycznego, zmierzającego do stworzenia romskiej tożsamości jako

„narodu politycznego”. Romska tożsamość ma być w tym ujęciu tożsamością polityczną lub obywatelską. Zdaniem Gheorghego oznacza to - po pierwsze - edukacyjne działania romskich organizacji na rzecz uczynienia z Romów odpowiedzialnych i świadomych swoich praw obywateli krajów, w których mieszkają, po drugie - kontrolę rządów w zakresie przestrzegania przez nie praw obywatelskich, w tym praw Romów. Oznacza to jednak o wiele więcej: w innym swoim wystąpieniu Gheorghge stwierdził, że w czasie, gdy rozwijają się europejskie instytucje i ponadnarodowe regulacje prawne, „Romowie, naród europejski bez własnego państwa, wybierają rządy prawa i demokrację jako swoją podstawową identyfikację obywatelską i jako swoją ojczyznę”.

Gheorghge miał tu na myśli prawne i demokratyczne standardy wyznaczane przez instytucje europejskie, stanowiące istotny układ odniesienia dla wschodnioeuropejskich rządów rozpoczynających starania o przyjęcie do Unii Europejskiej. W jego koncepcji „narodu politycznego” Romowie są obywatelami funkcjonującymi jednocześnie w dwóch prawnych i instytucjonalnych układach odniesienia: lokalnym (państwo zamieszkania) i europejskim.

W prezentowanych tu rozważaniach przewijał się wielokrotnie wątek edukacji, przy czym nie chodzi o edukację rozumianą jako zdobywanie szkolnej wiedzy. Choć i ona jest ważna, z czego od dawna zdawali sobie sprawę romscy liderzy. W 1937 roku Janusz Kwiek, jeden z przywódców polskich Kelderazy, powiedział: „Jeśli tylko wykształcimy nasze dzieci, to niedługo będziemy mieli naszych reprezentantów w Lidze Narodów”. Jego słowa się sprawdziły: wykształconych Romów jest coraz więcej, Romowie mają też status konsultacyjny przy ONZ.

Jednak najważniejsza w kontekście romskiej przyszłości jest edukacja „polityczna” rozumiana jako wiedza o romskiej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości oraz o tym, jak budować i realizować projekty poprawy romskiego życia. Ważnym elementem tej edukacji jest sztuka współpracy, zarówno wewnątrz romskiego ruchu politycznego, jak i między Romami a nie-Romami.

Tożsamość czy prawa człowieka?

Romski ruch polityczny cierpi na wiele problemów, zarówno wewnętrznych, jak i związanych

ze środowiskiem politycznym, w jakim przyszło mu działać. Idea Romów jako narodu europejskiego jest śmiała politycznie i atrakcyjna intelektualnie. Jednak cieszy się popularnością głównie wśród romskich elit i międzynarodowych organizacji, nie jest natomiast - jak pisze Peter Vermeersch - zbyt skuteczna jako narzędzie mobilizowania Romów na szczeblu lokalnym.

Twierdzi się niekiedy, że ów brak skuteczności spowodowany jest podziałami romskiej społeczności, która stanowi niespójny konglomerat rozmaitych grup. Według Vermeerscha taki stan rzeczy jest nie tyle przyczyną braku skutecznej, masowej mobilizacji Romów, ile raczej jej rezultatem. Uważa on, że istnieje zbyt wiele rozmaitych koncepcji romskiej tożsamości, postulowanych przez różne romskie organizacje i elity, oraz zbyt wiele wizji, jak tożsamości te miałyby się realizować w działaniach politycznych, aby skutecznie oddziaływać na szerokie masy romskie. Dlatego niektórzy działacze postulują, by porzucić politykę tożsamości i działać wyłącznie w obszarze praw człowieka i poprawy sytuacji materialnej Romów. Problem tożsamości dzieli ich zdaniem Romów, a na horyzoncie nie widać koncepcji „romskości”, która byłaby w stanie zjednoczyć skłócone grupy.

W odróżnieniu od kwestii tożsamości, prawa człowieka są jednakowo istotne dla wszystkich Romów i podobnie przez nich interpretowane. Jak pisze Dimitrina Petrova, niezależnie od tego, jak zdefiniujemy Romów, ich prawa są prawami człowieka. Uważam ten spór za pozorny. Wielość koncepcji tożsamości jest normalnym stanem kultury i świadczy o jej żywotności, plastyczności i zdolności do pełnienia roli zasobu symbolicznego, służącego najrozmaitszym interesom i przedsięwzięciom jej członków. Jednolita koncepcja tożsamości charakteryzowała tak zwane społeczności tradycyjne lub pewne okresy historyczne, kiedy bywała narzucana siłą przez ideologie polityczne. Nie jest natomiast naturalnym i pożądanym stanem rzeczy. Rozumieją to współcześni romscy intelektualiści, tacy jak Damian Le Bas, Gregor Kwiek czy Brian Belton, którzy odmawiają przyjęcia jednej, zunifikowanej romskiej tożsamości, nawet jeśli autorami takiej koncepcji byłiby romscy działacze polityczni. Zdaniem tych autorów siła romskiej kultury i jej zdolność przetrwania opiera się w dużej mierze na odmowie jednolitej i jednoznacznej identyfikacji.

Słabości romskich organizacji

Peter Vermeersch twierdzi, że to nie sama kwestia tożsamości przyczynia się do tworzenia podziałów między Romami, ale raczej niezdolność romskich działaczy do wykorzystania tożsamości i jej symboli jako skutecznego środka mobilizacyjnego. Brak jest praktycznej odpowiedzi na pytanie, co jest romską „substancją narodową”, brak skutecznych działań na rzecz ustanowienia takich kryteriów przynależności, które nie prowadziłyby do konfliktów.

Inną przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, że romski ruch polityczny nie ma konkretnego i realistycznego celu, z którym mogłyby się identyfikować rozmaite grupy. Cele międzynarodowych organizacji romskich formułowane są często zbyt ogólnikowo i nie zawsze realistyczne. Ponadto często koncentrują się na eliminacji takich szkodliwych zjawisk jak dyskryminacja czy „antycyganizm”, nie formułując pozytywnej wizji tego, kim mieliby być Romowie, kiedy już nie będą dyskryminowani.

W romskich organizacjach międzynarodowych nie ma pogłębionej dyskusji na temat zasadniczych celów romskiego ruchu politycznego. Dyskusja ta mogłaby przyjąć za punkt wyjścia opisany przez Vermeerscha paradoks: romscy aktywiści z jednej strony domagają się równości i protestują przeciwko traktowaniu ich jak „innych”, z drugiej jednak muszą zdefiniować jakoś własną grupę dla celów politycznych i praktycznych - na przykład aby rozmaite programy pomocowe miały swojego adresata - a w tym celu muszą podkreślać różnice pomiędzy Romami a nie-Romami.

Różne sposoby rozwiązywania tego paradoksu prowadzą do wielu istotnych pytań. Czy celem romskiego ruchu ma być integracja ze społeczeństwem większościowym, oparta - jak pisał Bernard Rorke - na skomplikowanym procesie negocjacyjnym, przyjęciu przez obie strony określonych zobowiązań i wzajemnego szacunku dla tego, co odróżnia Romów od nie-Romów? Czy też ma to być separatyzm i głoszenie romskiej odrębności jako najważniejszej wartości, której podporządkowane są wszystkie inne?

To z kolei prowadzi do bardzo praktycznego pytania: Jak daleko współpracować z nie-Romami? Z jednej strony taka współpraca jest konieczna i przez niektórych badaczy uważana za eksperymentalną „sferę spotkania”, w której wytwarzają

się przysze wzory życia w zintegrowanym społeczeństwie. Z drugiej jednak strony rodzi to wiele niebezpieczeństw, takich jak instrumentalne traktowanie organizacji romskich przez ich partnerów politycznych, uzależnianie się od funduszy pomocowych i ustalanie hierarchii romskich celów przez instytucje finansujące ich realizację, czy wreszcie pojawienie się tzw. zawodowych Romów, funkcjonujących jedynie w świecie międzynarodowych organizacji „zajmujących się” Romami.

Te zjawiska mogą rodzić wiele konkretnych problemów, takich na przykład jak wyobcowanie romskich elit politycznych (co jest im zresztą często zarzucane przez oponentów), a to przyczyni się do „deficytu demokracji”; w rzeczy samej trudno czasem powiedzieć, kogo właściwie reprezentują romskie organizacje. Pomimo ich rozbudowanych struktur, dziesiątek komisji, podkomisji i ogromnych nieraz ambicji ich przywódców pojawia się pytanie o to, kto ich wybrał, kto udzielił im mandatu do reprezentowania danej społeczności. Dlatego też, zwłaszcza na poziomie międzynarodowym, łatwiej o organizacje usiłujące reprezentować „Romów w ogóle” lub zorientowane na rozwiązanie jakiegoś ogólnego problemu, niż o stowarzyszenia wyrastające z konkretnych potrzeb określonych społeczności. Te ostatnie są zaś często bardziej zainteresowane krótkoterminowym przetrwaniem niż ogólnymi celami międzynarodowego ruchu romskiego. Nakłada się na to poczucie rezygnacji i przekonanie, że „i tak nic się nie da zrobić” dla Romów w szerszej skali. Dla działaczy organizacji międzynarodowych jest to w pewnym sensie kwestia ich być albo nie być. Praktyczne problemy społeczności romskich muszą zostać przynajmniej złagodzone (bo trudno tu mówić o ich szybkim rozwiązaniu), gdyż jeśli bieda, nierówność i dyskryminacja będą się utrzymywać, wówczas prowadzona na poziomie międzynarodowym romska polityka tożsamości może zaostrzyć sytuację, wzmocnić stereotypy i uniemożliwić negocjacje. Wówczas mogą się pojawić nowi działacze, pozostający poza strukturami instytucjonalnymi, którzy wybiorą bardziej radykalne formy protestu, nad którymi będzie trudno zapanować obecnym strukturalom romskiego ruchu.

To wszystko sprawia, że rosnąca liczba romskich organizacji i ich coraz większe możliwości nie

przekładają się na masowość romskiego ruchu politycznego. „Romskim partiom - pisze Vermeersch - nie udaje się przyciągnąć wyborców, romscy działacze nie potrafią zorganizować masowych protestów, nawet liczba osób identyfikujących się jako Romowie podczas spisów powszechnych jest mniejsza od tego, czego można by oczekiwać. Wprawdzie romscy działacze znajdują partnerów wśród instytucji narodowych i ponadnarodowych, to nie udaje im się stworzyć własnego, masowego romskiego zaplecza, które by wspierało ich postulaty”.

Najważniejszym zadaniem stojącym przed romskim ruchem politycznym jest konsolidacja: zarówno budowa więzi między lokalnymi skupiskami Romów a międzynarodowym romskim ruchem politycznym, jak i budowa wspólnego frontu rozmaitych romskich organizacji.

Wśród Romów istnieją często obawy, że postulat takiej konsolidacji oznacza ich ujednolicenie i eliminowanie różnic dzielących romskie społeczności, a tym samym zacieranie ich specyfiki, z której są dumni. Tak wcale być nie musi. 350 lat temu brytyjski filozof polityki Thomas Hobbes napisał, że jedność jakiejś zbiorowości nie oznacza, że wszyscy są tacy sami, ale że wszyscy akceptują swoją reprezentację polityczną. Oprócz tego pozostają różni.

Taka „minimalna jedność” też może być trudna do osiągnięcia, wymaga bowiem między innymi wprowadzenia mechanizmów demokratycznej reprezentacji politycznej. Jednak jest niezbędna, jeśli mamy się dochować nowego pokolenia politycznie wykształconych Romów, świadomych i dumnych ze swojej historii oraz wiedzących, co trzeba zrobić, aby w przyszłości kontrolować własny los.

Tekst jest rozszerzoną relacją z wystąpienia autora podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Romów w Radomiu 17 kwietnia 2012 roku.

Dr Sławomir Kaprański

Sociolog. Przez wiele lat związany jako wykładowca z Central European University (Praga, Budapeszt, Warszawa). Obecnie w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie oraz w Centre for Social Studies przy IFiS PAN. Zajmuje się teorią kultury, nacjonalizmami, etnicznością i zagadnieniami tożsamości, pamięcią zbiorową, antysemityzmem i Holocaustem oraz problemami europejskich Romów. Członek Gypsy Lore Society oraz redakcji „Studia Romologica”.

2012

Romane Dyvesa

Gorzów Wielkopolski

Fotografował

Adam Kozak





Cygańskie dni w Gorzowie

☀ Międzynarodowe Spotkania Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa”, czyli cygańskie dni, odbywają się w Gorzowie Wielkopolskim od 1989 roku.



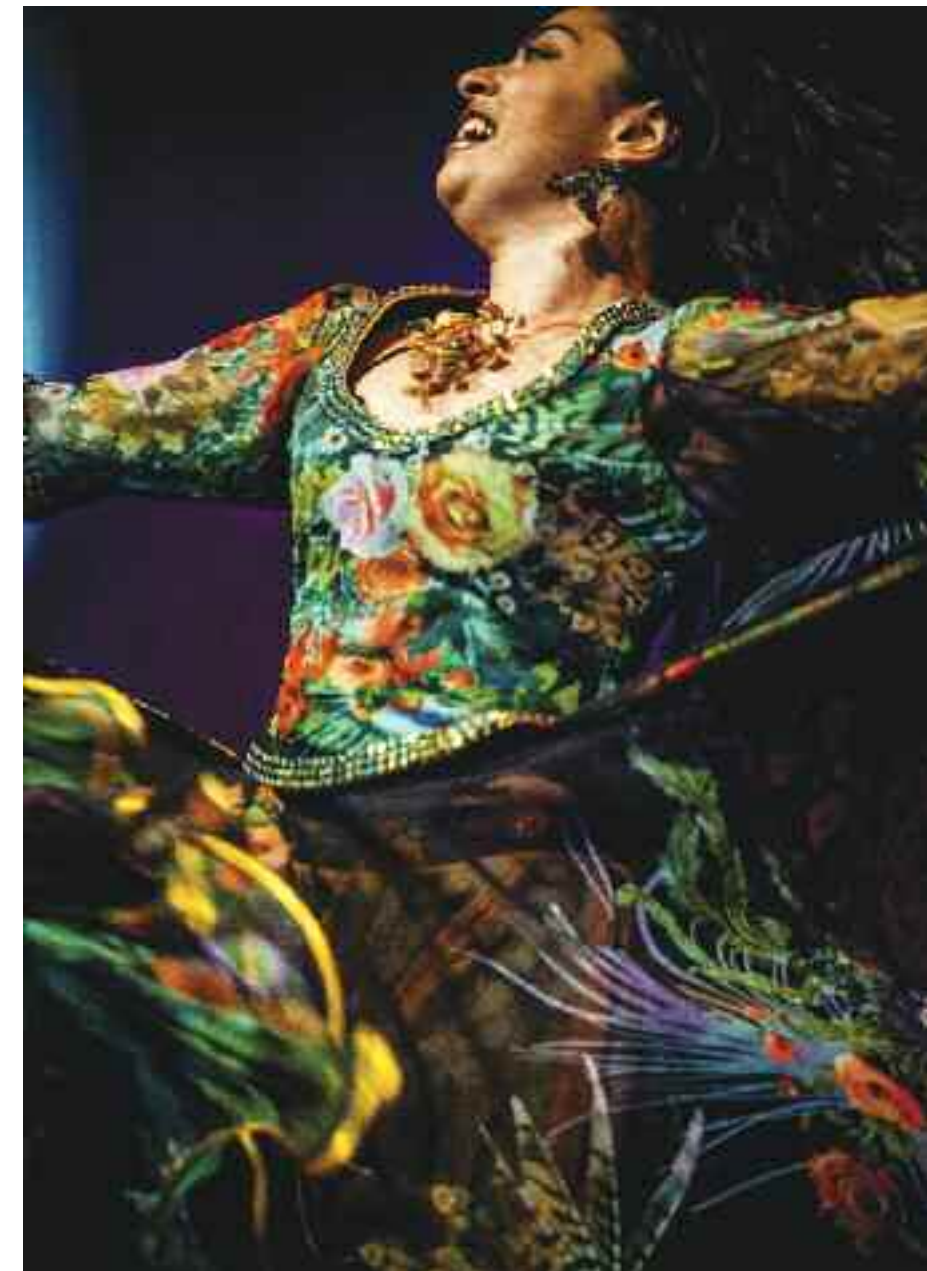
To najstarsze tego typu wydarzenie na świecie. Jego pomysłodawcą, organizatorem i dyrektorem jest Edward Dębicki - kompozytor, akordeonista, autor piosenek, założyciel Cygańskiego Teatru Muzycznego „Terno”. Nad kształtem festiwalu (o którym przed laty dyskutował z Jerzym Ficowskim i Mateuszem Święcickim) Dębicki czuwa do dziś. Spotkaniom muzycznym w gorzowskim amfiteatrze towarzyszą dodatkowe wydarzenia: dyskusje, inscenizacje związane z życiem taborowym, prezentacje kultury romskiej,



warsztaty taneczne. Patronuje im Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji.

Od 1999 roku przesłaniem festiwalu są słowa Yehudi Menuhina: „Europa będzie naprawdę ucywilizowana, kiedy Cygan bez problemów i szykan na granicach będzie mógł podróżować między Istambułem i Dublinem”.

W 24 edycjach imprezy wzięło udział blisko 200 twórców: muzyków, wokalistów, tancerzy i tancerek z całego świata, w tym także najwybitniejsze zespoły cygańskie,



m.in.: Dżang z Rosji, Teatr Romathan ze Słowacji, Kalyi Jag z Węgier, Boban i Marko Marković Orkestar z Serbii, Fanfare Ciocarlia z Rumunii, Rock Alice z Czech, Romano Drom z Węgier, Loyko z Rosji, Romafest z Rumunii, Raya z Norwegii, Balkan Rom z Bułgarii, Bratsh z Francji, Lelo Nika ze Szwecji, Ruska Roma z Rosji czy Mahala Rai Banda z Rumunii.

Ostatni zespół był też gwiazdą tegorocznej, czterodniowej odsłony Romane Dyvesa.

W sobotni wieczór i podczas niedzielnej gali finałowej występowali pod szyldem „Gypsy Queens&Kings”, w towarzystwie gości: Esmi Redzepovej z Macedonii,

Jony Iliev z Bułgarii, Florentyny Sandu z Rumunii i gitarzystów zespołu Tato Garcii - Kaloome. Na scenie amfiteatru pojawili się także m.in. Ricardo Kwiek, legenda światowej muzyki cygańskiej, oraz oczywiście zespół Edwarda Dębickiego.

W festiwalu biorą udział nie tylko romscy artyści. Tym razem w Gorzowie wystąpił i współprowadził koncert aktor Krzysztof Tyniec. W ubiegłych latach śpiewali tu m.in.: Edyta Geppert, Kayah, Alosza Awdiejew, Krzysztof Krawczyk, Aida, Janusz Józefowicz oraz Natasza Urbańska z teatrem Buffo, Edyta Górniak, Andrzej Piaseczny i Katarzyna Groniec.

Magdalena Kicińska







Adam Kozak

Rocznik 1974. Z wykształcenia filozof, z zawodu fotograf. Laureat konkursów Grand Press Photo oraz BZ WBK Press Photo, przez 17 lat pracował w „Gazecie Wyborczej”. Publikował niemal we wszystkich polskich tygodnikach, a za granicą w „Liberation”, „Newsweeku”, „Die Welt”, „Sternie”.

Pasjonuje go portret. Fotografował znanych i nieznanymi

- aktorkę Annę Polony, piosenkarkę Erykah Badu, prezydenta Lecha Kaczyńskiego, warszawskich punkowców, ofiary konfliktu w Libanie.

Na swojej stronie internetowej napisał: „Nie wiem, co to jest czas, nie wiem, co znaczy 1/125 sekundy.

Wiem tylko, że w tym czasie można zrobić zdjęcie”.

Wszystkie domy pana Dębickiego



Ciągle błąkam się w romantyzmie, w dawnych czasach, gdzie wyrastałem, gdzie człowiek człowiekowi był serdeczny, dzielił się kawałkiem chleba

Magdalena Kicińska



Edward Dębicki, 2012 r.
Fot. Adam Kozak

Edward Dębicki, rocznik 1935, przyszedł na próbę tuż po dwunastej. Obejrzał amfiteatr, pokreślił coś w scenariuszu galowego koncertu, który już za parę godzin, zwołał zespół na próbę. Znow przyjrzał się scenie - za głośnikami butelki po wodzie, zostawili je ćwiczący wcześniej muzycy. W jego świetle to nie do pomyslenia, wszystko musi być przygotowane, dopięte na ostatni guzik.

W taborze był Edziem, Cyganiątkiem o kruczoczarnych włosach, pupilkiem. Teraz jest „Wujkiem”. Romowie, starsi i młodzi, idą pół kroku za nim i słuchają lekko pochyleni, w nieśmiałym ukłonie.

Żona, Ewa Dębicka, pogania: „Edward!”. Muszą już wychodzić, żeby załatwić jedną ze stu festiwalowych spraw.

Córka Brygida mówi „tato” z taką czułością, jakby to było wczoraj, kiedy wracał z koncertów i zaglądał do pokoju, sprawdzając, czy już z siostrą śpią.

Nam trudno myśleć o nim inaczej niż „pan” (w domyśle: szanowny), kiedy siedzimy na tarasie w Kłodawie, gdzie teraz mieszka i opowiada o swoim wędrowaniu od domu do domu.

Pierwszy dom to Kałusz

Na pocztówce z 1938 roku widać jego panoramę: po lewej okazała cerkiew, w centrum kościół, kamienice, podmiejskie łąki. Kresowe miasteczko.

Dębicki: - Kałusz był w województwie stanisławowskim, kiedyś to polskie było. I to tak jak u nas w Wieliczce, też tam sól kopali. Cyganie wynajmowali mieszkania, żeby przeczimować. My u takiego Ukraińca kilka razy. I tam w Kałuszu ja się urodziłem.

Czy to był 1935, jak ma dziś w dowodzie, czy rok, dwa lata wcześniej, tego już dziś nie sposób sprawdzić. Ale Dębicki pamięta, że to był dla jego rodziny dobry rok.

Ojca, Władysława Krzyżanowskiego, po cygańsku wołali Niunia, bo taki był miękki, dowcipny, czuły. Żołnierz V Pułku Ułanów. Muzykował, jak prawie wszyscy w taborze, grał na harmonii guzikowej. Matka, Franciszka Raczkowska, pochodziła z cygańskiej średniej klasy. Bardziej niż ojciec zasadnicza, surowa, bez tego nie dałaby rady wychować siódemki dzieci. Dobra we wróżeniu. W roku, gdy urodziła Edwarda, udało jej się na tych wróżbach sporo zarobić, mogli spokojnie przeczekać zimę.

Dębicki: - Mostek, rzecznica, chatynka taka dwuizbowa. Pamiętam, jak były schody, jak pokój, jak ja spałem i jak się bawiłem. Jak mama przywiozła cukier w kostkach, jak z nich sobie ustawiałem pociąg. I pamiętam, jak się przeziębilem i leżałem pod pierzyną, a ta pierzyna rosła, jakby sterta była na mnie. Musiałem mieć straszną gorączkę. Później opowiadałem nieraz o tym, a mama: „Zmyślasz, niemożliwe, żebyś ty pamiętał”. A ja pamiętam. I zapachy ze smolaków, gałęzi osmalonych, którymi oświetlaliśmy izbę. I smaki. Te barszcze lubiałem, pierogi ruskie. A najbardziej zapamiętałem sobie takie jadło: kukurydziana kasza z mlekiem na gęsto albo na rzadko. To się nazywało czyr.

Drugi dom, najważniejszy - tabor

- A te porzeczkę zjedźcie, bo nie ma komu, a już trochę dojrzałe. A tam agrest, takiego słodkiego to nie jedliście.

Pan Edward oprowadza nas po sadzie i pokazuje wozy.

- Jak nam się poprawiło w latach pięćdziesiątych, to tata kazał zrobić wóz taki jak ten. Kosztował tyle co syrenka. Jak Cygan miał dobry wóz, konia, ładną żonę, dużo dzieci i pierzyn, uważano go za bogatego. Biedniejsi jeździli drabiniastymi wozami, mniej zdobnymi.

Nowy-stary wóz stoi pod śliwkami na gumowych oponach, Dębicki znalazł go przez ogłoszenie. Ktoś z Gorzowa wozził nim dzieci do szkoły. Dziś już nie jeździ, trzeba go wozić na lawecie, ale rzeźbione diabły, które miały bronić od uroku, są. I biało-niebieskie malowane kwiaty z przodu, a na drzwiach lustro. Pan Edward przegląda się w nim, przybliża i oddala twarz. Sprawdza może, czy wciąż widać bliznę na policzku - pamiątkę po postojach taboru w huculskiej wiosce; szprychy z koła pocięły mu wtedy twarz. Poprawia włosy, chce dobrze wyglądać.

- Dziś oddałbym wszystko, żeby tamte czasy wróciły. Żeby taki wóz-pokój stanął gdzieś w pięknym plenerze i żeby mnie nie nękały rachunki za prąd i gaz. Jak żyliśmy w lasach, mieliśmy swoje światło: w dzień świeciło nam słońce, w nocy księżyc. I gwiazdy, które dziś są namalowane na suficie w moim wozie.

Józef Merstein, muzyk jazzowy: - Ich tabor, w którym była i moja rodzina, i Wajsów rodzina z Papuszą przyszedł ze Wschodu. Mówili na nich: tabor harfiarzy. I on te czasy taborowe opisuje w swoich wspomnieniach tak, jak ja to jeszcze pamiętam z późniejszych, powojennych lat.

Na prawdziwym wozie pan Edward siedział zawsze z tyłu, w poduszkach, w pierzynach. I w taborze też był z tyłu, na uboczu.

- Ja byłem stworem dość dziwnym. Bo moi rodacy to coś robili, jeden na grzyby szedł, inny grał, a ja siedziałem pod namiotem i myślałem. Albo patrzyłem na pole. I stale jakieś marzenia mnie brały. Pewnego razu ojciec mnie zapytał: „Edziu, czy ty się aby na pewno dobrze czujesz?”. Ja na to: „Ale dlaczego?”. „A bo ty tak siedzisz, ciągle myślisz, patrzysz i my z mamą się martwimy, czy ty czasami nie schodzisz z rozumu”. I potem, żeby nie zauważyli, to się zacząłem kryć, ale ciągle ukradkiem podpatrywałem, co się dzieje. Myślałem, co będzie dalej. Gdzie ja będę.

I znow powtarza, że wszystko by oddał, byle wrócić do taboru.

- Gdzie człowiek wyrośnie, to w nim jest. Ja mam obrazy dzieciństwa, biedy, wojny. Czuję swąd dymu z ogniska, słyszę, jak las szumi, jak małżeństwa się kłócą, jak śpiewają. Tę miłość, życie.

Taborowy rytm: wiosenny wyjazd, wędrowanie od wioski do osady, szukanie dobrego miejsca (z łąką na popas, polaną na ognisko, wodą i wsią niedaleko, żeby Cyganki miały gdzie wróżyć). W dobrym miejscu postój, potem dalsza droga.

- Byłem pupilkiem. Wujkowie mówili: „Edziu to będzie wielki człowiek, a wy - krzyczeli na swoich synów - wy to będziecie fuligany”, jak to Cyganie mówili na chuliganów. Kuzyni mieli mi za złe: „Z ciebie panka już zrobili”. Ale ja też byłem rozrabiaka, uciekałem, żeby się oderwać.

Broniła go Papusza, ulubiona ciotka. To Jerzy Ficowski - poeta, autor książek o cygańskiej kulturze, który kilka lat po wojnie trafił do ich taboru - nazwał ją poetką. Sama po prostu opisywała, co widzi, czuje. Dzięki Ficowskiemu w latach pięćdziesiątych ukazał się pierwszy z trzech tomików jej wierszy. Rodacy długo mieli to Papuszy za złe - cygańskich tajemnic się nie zdradza. Ciężko to odchorowała.

- Ona mnie brała jak swego, bo nie miała dzieci. „Chodź, Edziu” - wszędzie



mnie ciągała. „Patrz, Edziu, to trawka, to listek, to robaczek. Oni nie umią mówić, ale rozumieją i ich też trzeba zrozumieć. I trawa ma swoją rozmowę, i żyto, i wszystkim”. A ja myślałem: „Zdurniała ta moja ciotka”. Dopiero później zrozumiałem. Nawet jak już starszy byłem, to zawsze coś mi dawała: „Masz, Edziu”. Nawet po tej chorobie. Przy niej można było odpocząć, widzieć przestrzeń.

Wędrowali tak, koncertowali aż do zimowania u gospodarzy - polskich, ukraińskich, w stodole albo wynajmowanych pokojach.

Trzeci dom to kryjówki

2 września 1939 roku czteroletni Edzio zaczął chorować, ale lekarza już nie będzie. Wszyscy ruszyli w drogę. Taborowa starszyzna uradziła: uciekać w głąb Wołynia. Na pierwszą wojenną zimę osiedlili się w Kozowie. Tam po raz pierwszy usłyszeli, że Cyganów i Żydów będą zamykać w obozach. Wiosną uciekli więc dalej, do Włodzimierza. Zatrzymywali się w opuszczonych domach, w chutorach, słuchając coraz straszniejszych opowieści o kaźniach, jakich doznawali Cyganie i od Niemców, i od banderowców. Przeszli przez włodzimierskie getto, gdzie umieszczono ich razem z Żydami. Cyganie nosili białe łatki.

Po ucieczce z getta Dębicy oderwali się od taboru, w mniejszej grupie łatwiej było się chować w lasach. Ukrywali się w leśnych kryjówkach, na bagnach, miesiącami żyli w lepiankach.

- Mówią, człowiek wszystko przeżyje. Bo nie ma innej możliwości. Moja rodzina przeżyła, co najgorsze. Bo jeżeli kogoś podstawią pod ścianą i zabiją, to mu skracają życie. Ale tak z życiem się męczyć, jak my się męczyli?

Jeśli udało się gdzieś zatrzymać - u dobrych Polaków czy Ukraińców - zaraz znów trzeba było ruszać. Dębicki pamięta, że w 1943 roku przez chwilę chodził do ukraińskiej szkoły, czasami wydawało mu się, że wojny już nie ma.

- Przeżyłem najmłodsze moje latka w wojnie. Chodziłem po trupach, przeskakiwałem ciała, ojciec mnie brał za rączki. Baliśmy się, każdy dzień w napięciu. I codziennie człowiek słyszał, jak strzelają, jak mordują. I uciekał co dzień, i był głodny. I to jest okropne, i to do mnie wraca. Chciałbym, żeby nie wracało, bo muszę dalej uciekać.

A czasami to bym wszystko oddał, żeby wrócić chociaż na chwilę do taboru i do dzieciństwa.

Dom czwarty - znów w taborze

Po wojnie trzeba było załatwić sobie dokumenty, bo stare przepadły. Kupili je od Cygana w Zamarstynowie na rynku. To one Krzyżanowskich zmieniły w Dębickich.



Papsza i Karol Siwak, 1949 r.
Fot. Archiwum rodzinne



Orkiestra taborowa, 1949 rok.
Od lewej: Karol Siwak,
Roman Krzyżanowski,
Dionizy Wajs
i Tونی Krzyżanowski
(przy harfie),
Tadeusz Wajs - brat Papszy,
Wańka Wajs - ojczym Papszy
i z akordeonem Edward Dębicki.
Fot. Archiwum rodzinne

Taborowi powodziło się dobrze, grania było dużo, bo znani artyści jeszcze przez kilka lat po wojnie nie odwiedzali wsi i miasteczek. Kobiety wciąż zarabiałały na wróżbie. I tylko miejsca na ognisko trzeba było dokładnie sprawdzić, bo czasem wybuchały miny.

Pierwszy, 32-basowy akordeon ojciec kupił Edwardowi, żeby odciągnąć syna od psot. Skradziono mu go już czwartego dnia.

Papsza i jej mąż Dyżko namawiali rodziców Edwarda na zakup kolejnego akordeonu, dołożyli połowę potrzebnej kwoty. Widzieli w Edziu talent.

Kolejny akordeon był ciężki, 140-basowy, Edzio ledwie go dźwigał, ale szybko musiał zacząć na nim grać. Uczyli go różni wujkowie. Pierwsze zarobione pieniądze oddał rodzicom, dumny, że może im pomóc. Z czasem ustalili skład: cztery harfy, troje skrzypiec, kontrabas, perkusja i akordeon. Była to prawdopodobnie jedyna taka orkiestra w Europie.

Mówili o sobie: tabor pracujący. Cała rodzina zarabiała na zimę.

Dom piąty - przymusowy

W 1964 roku władza ludowa wydała dekret: zabraniał taborowania. Cyganie musieli się osiedlać. A dla nich przymusowy adres to jak więzienie.

Tych, którzy nocami wyrwali się do lasu, milicja sprowadzała z powrotem między mury pod groźbą karabinów. Znów polowano na nich jak na zwierzynę.

- Jak przyszło wyzwolenie, pomyśleliśmy, że w końcu odetchniemy pełną piersią. Ale i komuniści strasznie nas niszczyli. Byliśmy jak Murzyni poddani, można z nami było robić, co się chciało.

Ostatecznie Dębicy zamieszkali w Gorzowie Wielkopolskim przy Łokietka 28. Stara, wysoka, dostojna kamienica przy skwerku. Cichy, zielony zakątek miasta.

Ojciec zapisał Edwarda do szkoły muzycznej. Dyrektor chciał wiedzieć,

czy chłopiec nie zniknie z lekcji wraz z nastaniem wiosny. Na egzaminie mówili do niego jak do zwierzątka: „Nie bój się, Cyganiaczku”, „Przyjęliśmy cię, Cyganiaczku”.

By kupić synowi instrument, rodzice sprzedali konia. A „Cyganiaczek”, choć często obrażany i poniżany, pięcioletnią szkołę muzyczną skończył w trzy lata.

Bezdomność

Kradniecie? Okradliście? Kradną? Przez lata milicjanci odmieniali wciąż ten sam czasownik, jakby w języku polskim nie było innych wyrazów. Prawie codziennie kontrolowano tabory.

W Wąlczu dwunastoletniego Edwarda zaarrestowano razem z kilkoma mężczyznami z taboru, choć niczemu nie zawinił.

Na komisariacie bili do nieprzytomności. - Karolowi Siwakowi kazali wystawić język i gasili na nim papierosy.

Potem okradziono podobno pobliski sklep. Podobno, bo rewizji w taborze nie przeprowadzono. Ale i tak byli „winni”.

Gdy pod Ińskiem ktoś podpalił las, też było na nich. Aresztowali wtedy ojca. Musieli pokryć straty i na nic zdały się tłumaczenia, że Cyganie nigdy by nie podpalili lasu, bo to przecież ich dom. - Cyganie mówili, że ubowcy są gorsi od esesmanów.

Kiedy w Santocku pod Gorzowem skradziono im konia, milicjanci pokładali się ze śmiechu: jak to, ktoś Cyganów okradł?

Dębicki miał 19 lat, kiedy po milicyjnej prowokacji aresztowano go na trzy miesiące. Dziś uważa, że były to najdłuższe miesiące jego życia.

- Posadzili mnie, bo moja dziewczyna sprzedała jakiś materiał, który siostra przysłała jej z zagranicy. Posadzili mnie, że jestem szefem gangu. Do Wąlcza mnie zabrali, stłukli. Nawet jak już się stałem sławny, to dwa, trzy razy w tygodniu miałem rewizję. Bo jestem Cyganem. Peerel był straszny.

Józef Merstein: - Wtedy dużo Romów wyjeżdżało, a on został. Miał tu swój zespół, swoją misję. I w Gorzowie na sto procent był przyciskany, ale z władzą nigdy na żadne układy nie poszedł. To jest taki człowiek: spokojny, dobry. I zawsze wierny zasadom.

Dom rodzinny

Gdy pierwszy raz zobaczył Bronisławę Korsun - na scenie Randię - miłość miał wypisaną na twarzy. Byli bardzo młodzi.

- Miłość nie kartofel, za okno nie wyrzucisz. Zakochaliśmy się do cna.

Najpierw urodziła im się Brygida, rok później Rubina. A Randia szybko stała się pierwszą damą muzyki cygańskiej w Polsce. Dębicki uczył ją czytania, pisania i śpiewu. Jerzy Ficowski i Katarzyna Gaertner napisali dla niej piosenkę „Zakłęcia”, dzięki której została jedną z laureatek na opolskim festiwalu. Dębicki z zespołem koncertowali niemal nieustannie, czasem i trzy razy dziennie, Randia wydawała płyty i podpisywała fotosy.

O porwaniu Randii Dębicki dowiedział się od Ficowskiego. Randia zatelefonowała do niego z poczty, udając przed porywaczem, że jest jej wujkiem z Warszawy, u którego będą mogli ukryć się bezpiecznie. Ficowski zaraz zawiadomił Dębickiego, dzięki czemu ten szczęśliwie odnalazł żonę. I choć Randia wróciła do domu jeszcze tego samego dnia, dobrze już między nimi nie było. Dębicki: - Blizna została na całe życie. Porwanie zaważyło, ale już



Edward Dębicki, 1953 r.

Fot. Archiwum rodzinne

wcześniej między nami się zmieniło. Pierwsza miłość była silna, ale im dłużej byliśmy ze sobą, tym bardziej zaczęliśmy się traktować jak brat i siostra. Szanowaliśmy się i do dnia dzisiejszego się szanujemy, ale żyjemy inaczej.

Kiedy córki osiągnęły pełnoletność, rodzice się rozwiedli. Randia z Rubiną wyemigrowały do USA, Brygida została z ojcem.

Brygida Dębicka: - Najwcześniejsze wspomnienia z tatą: jak wracał w nocy z grania, zawsze zapalał lampkę przy naszych łóżkach. Panicznie bałam się ciemności. Ten lęk został mi do dziś. Trzymam przy łóżku latarkę i butelkę wody. Kiedyś patrzę, a przy łóżku taty ten sam zestaw. Tato mówi, że się nie boi ciemności, ale jak idzie na strych, zawsze bierze latarkę albo świeczkę. W rodzinie wierzy się w duchy. To duchy przodków, raczej dobre. Ten strach przed ciemnością wziął się pewnie też z wojny, z czasów, kiedy moi przodkowie ukrywali się w lasach.

Brygida uśmiecha się: - Kiedy wracał z koncertów, przywoził nam prezenty - zawsze trafione, przemyślane. Któregoś razu w Warszawie kupił nam spódnice bananówki. Albo z Pragi w nocy przyjechał i piękny, błękitny golf dostałam, wszyscy się nim w szkole zachwycali. A kiedy indziej z Wiednia przywiózł pół bagażnika czereśni - we wrześniu. Miał rękę do prezentów. Najważniejsza życiowa prawda, jaką wpoił mi ojciec, a ja swoim dzieciom: zanim powiesz komuś coś przykrego, sto razy się zastanów, co byś poczuła, gdyby ktoś powiedział to tobie? Zawsze to słyszałyśmy: nie ranić, pomóc, nie robić krzywdy. To on nauczył nas, jak być człowiekiem. I że ludziom trzeba ufać. Powtarzam te wszystkie prawdy swoim synom.

Brygida z dumą: - Mój brat mówi: „Siostra, on jest niezniszczalny”.

Drugi dom rodzinny

Ewa, z domu Dorota, Polka, jest żoną Edwarda Dębickiego od trzydziestu lat.

- Kiedy wyjeżdżałem do Stanów Zjednoczonych na koncerty, musiałem pójść do urzędu, w którym wydawali zezwolenie na prowadzenie samochodu. I tam pracowała Ewa. Jak spojrzała w czarne oczy moje, to się chyba zakochała, bo zaczęła błędy w moim podaniu popełniać. Wróciłem ze Stanów i zaprosiłem ją na wyborną kawę. Taką dużą, że pijemy ją po dzień dzisiejszy.

Urodziła mu syna, Manuela. Pracują przy festiwalu we troje.

Manuel Dębicki: - Urodziłem się, kiedy tata miał 50 lat, ale nigdy nie czułem różnicy wieku. Moje najwcześniejsze wspomnienia z ojcem to wspólne granie. Jestem wychowany na koncertach, jeździłem z nim od drugiego roku życia. Ciągłe jesteście blisko, liczę się z jego zdaniem. Jak sobie z czymś nie dają rady - a zdarza się to dość często - idę do taty. Wiadomo, że nie zawsze jest kolorowo, bo przychodzi festiwal i są spięcia - ja chcę ten zespół, tata chce tamten i już jest jazda. Ale się dogadujemy. Ojciec ma wspaniałe poczucie humoru, lubię też słuchać, jak opowiada swoje stare historie. Przez te jego opowieści pisałem bajki, jak byłem chłopcem. Zazwyczaj bajki o zwierzętach.

Manuel kocha je do dziś: - Znoszę tacie te ranne i chore, a on się nimi opiekuje. Ostatnio przyniosłem mu zająca, dwa koty i kurczaka. Ten kurczak to był brojler, wypadł z ciężarówki. Żył sobie jak paw u nas w ogrodzie, później, jak podejrzywam, padł na zawał - kurczaki są przecież strasznie fa-

szzerowane chemią. Ale miesiąc pożył godnie. Cyganie chyba mają naturalną miłość do zwierząt, bo żyli w lasach.

Dom podróżny - scena

Na początku lat 60. starsi muzycy w orkiestrze zaczęli chorować i umierać. Dębicki obwinia o to przymusowe osiedlenie. Wpadł mu wtedy do głowy pomysł, by stworzyć stały zespół. Na pierwszą próbę przyszło pół setki chętnych. Do wiosny 1963 roku została połowa i zespół Kham (Słońce) był już ukonstytuowany. Stroje szyły matki i ciotki.

Pierwszy występ odbył się w Gorzowie, w akademii milicyjnej przy ulicy Młyńskiej. Jerzy Ficowski zorganizował koncert dla ZAiKS-u, występ przyjęto owacjami. A później wszystko toczyło coraz szybciej - Kham pracował z różnymi estradami w Polsce i za granicą.

Dębicki chciał za wszelką cenę podtrzymać taborowe tradycje. W Ministerstwie Kultury i Sztuki wystarał się o pozwolenie na samodzielne organizowanie występów. „Bóg zlitował się nad nami, znów będziemy oddychać leśnym powietrzem” - cieszyła się jego matka.

Minitabor artystyczny ruszył w trasę, tyle że nie wozem, ale wynajętym autobusem PKS.

- Kiedy Ficowski dowiedział się, że znów mieszkamy pod namiotami, od czasu do czasu nas odwiedzał i odpoczywał. Stale powtarzał: „Panie Edwardzie, tylko pan mógł wymyślić coś takiego i do tego stopnia otumanic władzę ludową”.

Po roku zespół zmienił nazwę na Terno, czyli „młody”. Grał w nim ojciec Dębickiego i jego bracia, a siostry tańczyły. Ale z każdego zagranicznego koncertu wracało coraz mniej muzyków. Część zakładała rodziny i rezygnowała z grania. Dębicki połączył Terno z równie znanym zespołem Roma, bo i tam ubywało artystów. Po 13 grudnia 1981 roku przestali koncertować. - Zespół odbudowałem dopiero po stanie wojennym. Teraz występuje w nim już trzecie pokolenie, ze starego składu pozostało tylko parę osób.

W 1989 roku udało się Dębickiemu zorganizować w Gorzowie międzynarodowy festiwal Romane Dyvesa. - Jak chciałem zrobić festiwal, jedna pani na wysokim stanowisku w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych powiedziała: „Panie Dębicki, my osiedlamy Cyganów, dajemy wam dobrobyt, a pan podburza swoją twórczością do wędrowania”. Osłupiałem. Wyjaśniła, że chodzi o słowa piosenki: „Jak zostanę wielką panią, z aksamitu zrobię namiot, do namiotu szafę wstawię, będę mieszkać jak w Warszawie. A jak mi się sprzyrzy wreszcie, kupię sobie konia w mieście, oddam szafę i aksamit, i pojedę z Cyganami”. Ale się wkurzyłem! Mówię: „A co by pani chciała, żeby Cyganie siedzieli na traktorze, śpiewali, tańczyli i jeszcze orali?”. Na to ona, z wściekłości czerwona jak indor, że jak chcę dziś nocować we własnym domu, to mam się uspokoić. Stonowałem. Poradziłem jej, żeby do Ficowskiego miała pretensje, bo on napisał słowa, a ja tylko muzykę i muzyką chyba nikogo do niczego nie podburzam. Dziś festiwal jest znany niemal w każdym zakątku świata, w przyszłym roku będzie obchodził dwudziestopięciolecie.

Dębicki na scenie czuje się jak w domu. - Wczoraj najpierw te butelki po wodzie posprzątałem, co za głośnikami stały. Lubię porządek. Poza tym jakże to tak, przecież widz wszystko widzi: jak człowiek usta otworzy, to można mu policzyć plomby w zębach.

Dom wieczny - muzyka, literatura

Przez lata Dębicki napisał ponad dwieście pieśni cygańskich.

Józef Merstein: - On gra muzykę Romów taborowych, jeszcze wędrujących, najbardziej cenną. Wszystko na skali rosyjskiej, polskiej, kresowej, bałkańskiej. A teksty jakie piękne pisze! Grają go we Francji, w Niemczech, w Szwajcarii, gdzie tylko. Najczęściej nie Romowie, tylko inni artyści szanujący muzykę cygańską. Byłem kiedyś na koncercie na zamku w Heidelbergu, występowała tam kapela węgierska, Romowie i nie-Romowie, dyrygent był z Kosowa, a śpiewała Niemka. Grali Bartóka, Brahmsa, a na końcu wokalistka zaśpiewała po polsku... i to była pieśń Dębickiego. Wśród największych kompozytorów! Dla tamtych Romów akordeon to zakon, podstawa. Nie ma muzyki bez akordeonu. Akordeon Dębickiego wybrał, a Dębicki sprawił, że instrument, który był raczej akompaniujący, stanął w centrum - wyznacza rytm.

Guzikowy akordeon, na którym teraz gra Dębicki, waży 16 kilogramów. Ciężko, dlatego dziś częściej na scenie siedzi, niż stoi.

Edward Dębicki skomponował muzykę do wielu filmów, tworzył widowiska muzyczne, współtworzył scenariusze filmowe.

Janusz Stokłosa, dyrektor artystyczny Teatru Studio Buffo: - Dębicki z Terno trafił do nas na zaproszenie Janusza Józefowicza. Poznali się lata temu przy okazji zdjęć do filmu o Papuszy. Właśnie wprowadzaliśmy do repertuaru Wieczór Cygański i jedną z premierowych atrakcji miało być niespodziewane wejście przez widownię (w trakcie spektaklu) rozśpiewanego i roztańczonego Terno. Grając na akordeonie, prowadził je oczywiście Edward. Ten incydent tak podbił publiczność, że udział Terno w Wieczorach Cygańskich w Buffo stał się normą. Edward to wspaniała wirtuoz i uważny akompaniator, artysta na wskroś przepojony muzyką. Jego melodie - te improwizowane, jak i te, które potem przybierały postać jego kompozycji - odsłaniały delikatność i niepospolitą wrażliwość, często schowaną za nieśmiałym uśmiechem. Czuło się mocną osobowość, która znalazła swój język w muzyce.

Edward Dębicki wydał tomik poezji „Pod gołym niebem” i dwa tomy wspomnień: „Ptak umarłych” i „Wczorajszy ogień”.

Jan Kanty Pawluśkiewicz: - To wspaniałe książki, czyta się je w jeden wieczór. Dębicki pisze niezwykle prosto, bez specjalnego mizdrzenia się. A opisuje niezwykle poruszającą historię chłopca, którego otacza wojna, śmierć, kres świata, który znał najlepiej. Jest to opowieść niezwykle plastyczna, co świadczy nie tylko o wrażliwości autora, ale i o umiejętności budowania scen, o zmyśle artystycznym.

Dom otwarty

Edwarda Dębickiego honorowano: w 1986 roku Srebrnym Krzyżem Zasługi, w 2003 - odznaką „Zasłużonego dla Kultury Polskiej”, w 2005 - Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a w 2012 Złotym Medalem "Zasłużony Kulturze Gloria Artis". W 2001 roku przyznano mu tytuł Lubuszanina XX wieku, w 2007 otrzymał honorowe obywatelstwo miasta Gorzowa Wielkopolskiego. W 2006 roku za rozwój i ochronę kultury cygańskiej na świecie z rąk Prezydenta International Fest Roma z Belgradu otrzymał pierwszego Cygańskiego Oscara.

Roman Kwiatkowski, prezes Stowarzyszenia Romów w Polsce, mówi na jednym oddechu: - Pan Dębicki to dla mojego pokolenia człowiek ważny, wiele mu zawdzięczamy. Zawsze miał swój styl, nie poddawał się naciskom, modom i trendom. Zna swoje miejsce, trzyma kodeks, na spotkaniach starszyzny wszyscy go szanują. Mówiło się i wciąż mówi się o nim z dużą powagą. Dobrze żyje i z Romami, i z Polakami.

Ksiądz Stanisław Opocki, duszpasterz Romów w Polsce: - Cenię pana Dębickiego za jego normalność i skromność. Dzięki niemu Romowie mogą być dumni z faktu, że są Romami, a gorzowianie się integrują. Jestem pewien, że pan Dębicki przejdzie do historii.

Dom dzisiaj

O dom pytamy na tarasie jego willi w podgorzowskiej Kłodawie, w poniedziałek, dzień po festiwalu. Dębicki milknie na chwilę. - Ten zbudowałem, mieszkam w nim, ale moim domem jest przyroda. W lesie czuję się u siebie. Jakby mnie ktoś gonił, pobiegłbym do lasu, tam umiem się schować. Lubię pola, żyta, równiny i lasy, a gór nie. Jak patrzę na łany zbóż, przypomina mi się dzieciństwo. Lubię chodzić po polnych drózkach - tam i z powrotem.

Zadajemy więc inne pytania.

O to, co w życiu ważne.

- Najważniejsze jest zdrowie, wszyscy to wiedzą. Jeżeli człowiek jest zdrowy, to wszystko robi, a robić coś trzeba, bo inaczej życie nieważne. A jeśli jeszcze Bóg dał dar dobroci, to taki człowiek jest pożyteczny nie tylko dla siebie, ale i dla świata. I dobroć jest ważna. Mama mówiła: „Jak ktoś w ciebie kamieniem rzuca, daj mu chleb”. Ciągle jeszcze błąkam się w romantyzmie, w dawnych czasach, gdzie wyrastałem, gdzie człowiek człowiekowi był serdeczny, dzielił się kawałkiem chleba. Dzisiaj trudno tak żyć, ale tęsknię za tym wczorajszym ogniem.

O spełnienie.

- Spójrzeć na mój życiorys, to każdy by powiedział, że jestem spełniony. Ale nie jestem, bo moje życie porwało się na strzępy na początku i odtąd wszystko już było porwane. Marzyłem kiedyś, żeby ukończyć studia muzyczne, ale się nie udało, żałuję. Trochu z tego, co chciałem dla cygańskiej kultury zrobić, się udało, jakieś 60 procent, ale życie się kurczy i nie wiem, czy zdążę jeszcze te 40 wyrobić.

O duchy.

- Już nie przychodzą, ale nie zasną, kiedy światło jest zgaszone. Wierzę w duchy, przesady, sny. Często spotyka mnie na jawie to, co mi się śniło.

O to, czy się boi.

- Człowiek się rodzi, to i umrze, prosta rzecz. Rośliny umierają, zwierzęta, to i my. Ja nie tego się boję, tylko czy moi sobie beze mnie poradzą. Niektórzy mówią, że się boją starości. Dla mnie starość też może być piękna.

Magdalena Kicińska i Justyna Pobiedzińska

Korzystałyśmy z autobiografii Edwarda Dębickiego „Ptak umarłych” i „Ptak umarłych II. Wczorajszy ogień”.



Cykl Pasja,
1933 rok
99 x 119 cm
Karta 59
Rysunek węglem
drzewnym

Otto Pankok

Te obrazy są pozdrowieniem

Anna Arno

Pankok nie przypuszczał, że jego rysunki i ryciny, na których przedstawiał wolnych jak wiatr niemieckich Sinty, wkrótce staną się elegią dla tego ludu, a Ringela zginie w Ravensbrück

W 1926 roku Otto Pankok, wówczas trzydziestotrzyletni artysta, pokazał swoje prace historykowi sztuki Wilhelmowi Worringerowi. Po latach badacz wspominał to spotkanie: „Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy w moich drzwiach stanął po raz pierwszy Otto Pankok: święty Krzysztof, który zamiast pnia drzewa dzierżył ogromny rulon rysunków. A po przyjrzeniu się jego szkicom dostrzegłem również dziecko na jego ramieniu”. Według apokryfu święty Krzysztof przeniósł małego Jezusa przez bród; to aluzja do tej historii.

Trudno chyba o lepszą metaforę postawy Otto Pankoka. Jego najważniejsze dzieła to portrety ludzi, którzy nie mają głosu i nie pozostawiają po sobie śladów. W swoich rysunkach, rycinach, rzeźbach i obrazach Otto Pankok jak święty Krzysztof przenosił ludzi na drugą stronę rzeki, ratował przed obojętnością i zapomnieniem.

Nigdy więcej akademii

Otto Pankok urodził się w 1893 roku w Mülheim w Zagłębiu Ruhry, w obrośniętym różami barokowym domu, przerobionym z dawnego klasztoru. Zarośnięty ogród zakonnicy szczególnie cieszył jego ojca. Eduard Pankok kierował inspekcją sanitarną, ale nazywano go „lekarzem motyli” - w swoich zbiorach miał sześć tysięcy barwnych okazów. Otto Pankok wspominał, jak podczas wspólnych spacerów pokazywał mu tajemniczość przyrody. Ale przyszły malarz odziedziczył po ojcu także sympatię dla zwykłych ludzi, gotowość do pomocy, oburzenie niesprawiedliwością.

Starając się zrekonstruować początki swojej artystycznej drogi, Pankok przywoływał pierwszy dziecięcy rysunek: „olbrzyma, który miał taki długi nos, że nie tylko chodzili po nim ludzie, ale także stał dom, kościół i topola. Dostyc ostry to i surrealistyczny początek twórczości”. Pankok był w dużej mierze samoukiem. W akademiach sztuk pięknych w Düsseldorfie i Weimarze wytrzymał ledwie kilka tygodni, zmierzły go też schematyczne kursy rysunku w Paryżu. Rozwijał się na własną rękę, studiując ludzi i obrazy. Kiedy jako piętnastolatek pojechał do Holandii, zdawało mu się, że płótna Rembrandta „jak słońce promieniają na ulice i kanały całego kraju”. Ale podczas tej samej wyprawy odkrył inne malarskie słońce: w Dordrechcie trafił na wystawę van Gogha. Wstrząśnięty, zapragnął poznać artystę: nie wiedział, że Vincent od dwudziestu lat już nie żył. To pierwsze intensywne przeżycie nazaczyło całą jego twórczość.



Otto Pankok z Sinty. Düsseldorf 1948 rok

Niesprawiedliwie byłoby jednak nazywać go „naśladowcą” - zresztą van Gogha nie da się przecież kopiować. Jak celnie powiedział Worringer, Pankok był raczej jego krewniakiem, synem-pogrobowcem. Natomiast sam artysta, opowiadając o swoim poprzedniku, tłumaczył, na czym polega powinowactwo z wyboru, takie, które nie uzależnia, lecz pomaga znaleźć własną drogę: „Sztuka van Gogha jest do głębi oryginalna i dlatego mógł on bez skrupułów wziąć sobie płaszczyzny od Japończyków, rysunek Herkulesa Seghersa czy kompozycje obrazów Milleta i spajać je w swoich dziełach”.

Pankok szybko zrozumiał, że dialog z mistrzami potrafi nawiązywać tylko z daleka, poprzez ich prace. Szkolne korekty kojarzyły mu się z uciskiem i mierzeniem talentu linijką. Któregoś razu profesor dosłownie przyłożył centymetr do jego obrazu - chciał go pochwalić, dowodząc, że przestrzega idealnych proporcji. „Pewnego dnia zatrzasnąłem za sobą drzwi i pobiegłem na dworzec. Nigdy więcej akademii!” - wspominał artysta po latach. Zamieszkał w dolnosaksońskiej wiosce Dötlingen. Spędzony tam „rok milczenia węglem na papierze” pozwolił mu nabrać rozmachu, uwierzyć we własne siły. Szkicując chłopską rodzinę, która w ponurej izbie zasiada do skromnego posiłku, Pankok nawiązywał do tradycji. W najbardziej oczywisty sposób do „Jedzących kartofle” van Gogha. Wśród prostych ludzi i wiejskich krajobrazów rozpoznawał krąg bliskich sobie motywów. Wówczas także kształtował się jego własny język - oparty na płaszczyznach i czarno-białych kontrastach, ożywiany krętą, ekspresyjną linią. Pankok podkreślał mimikę, topografię twarzy, zapisane w niej namiętności. Często zbliżał się do granicy karykatury; nie przekraczał jej jednak za sprawą łagodzącego rysy współczucia. Jeszcze wielokrotnie Pankok będzie szukał wytchnienia na prowincji, wśród ubogich i uciśnionych. Tam też stworzy swoje najlepsze prace.

Od i do człowieka

Tymczasem nastąpiła wojna i w grudniu 1914 roku artysta został zmobilizowany do piechoty, z którą wiosną trafił na front zachodni. Wiele miesięcy spędził w lazaretach, a po zwolnieniu w 1917 roku przeżył głodowy rok w Berlinie. Długo milczał o tych traumatycznych doświadczeniach. Ich piętno odcisnęło się jednak w jego dziełach - na długo zniknęła z nich ludzka postać.

W latach 20. Pankok na chwilę znalazł się w oku awangardowego cyklonu. Jego prace wystawiła Johanna Ey, właścicielka piekarni i niewielkiej galerii w Düsseldorfie. Witryna wzbudzała drwiny, ale także zaciekawienie. Wokół odważnej marszandki rozblęskło ognisko bohemy, w której orbicie krążyli m.in. Otto Dix i Max Ernst. Okładkę zatytułowanego nazwiskiem patronki magazynu „DAS EY” także ozdobiła rycina Pankoka. Dziennikarka Hulda Droste zapamiętała oburzony tłum przed wejściem galerii i grubą, zażywną właścicielkę, która usiłowała tłumaczyć sens wyeksponowanego w oknie „Ukrzyżowania”. W końcu wyszedł sam autor, brodac, który energicznie bronił marszandki i własnego pomysłu. Zwracając się wprost do Droste, szeroko gestykulując, tłumaczył: „Wbili mu w ręce takie gwoździe, takie”. Reporterka wkrótce przeprowadziła wywiad z kontrowersyjnym artystą, a w 1921 roku została jego żoną. Cztery lata później urodziła się ich córka, Eva Pankok. Otto Pankok szybko poczuł jednak trud artystycznej wspólnoty i odpowiedzialności pionierów, od których oczekuje się zaskoczeń i przełamywania tabu. „Tak, wy starsi mieliście dobrze: Nolde, Heckel, Kirchner” - stwierdzał w imieniu swojego pokolenia. „Wszyscy ci, którzy już przed wojną siedzieli mocno w siodle i zdążyli się sprawdzić, do których należała nie tylko przyszłość, ale również teraźniejszość, a po wojnie wystarczyło... pójść dalej wyznaczoną wcześniej ścieżką”. Pankok nie mógł działać w zespole. Jak wspominała żona, jego ojczyzną była samotność. Uciekał od towarzystwa i wielkiego miasta.

Chociaż opiewał północne krajobrazy, tym razem do artystycznego przełomu przyczyniło się południe. We Włoszech obawiał się ciężaru tradycji, marmurowych kolumn i oślepiającego słońca. Znalazł jednak własne fascynacje - pociągał go nie dojrzały Renesans, lecz religijne obrazy wczesnych Sieneńczyków, Fra Angelico i bizantyjskie mozaiki na Sycylii. „Na południu obrazy są prostsze, mniej delikatne, solidniej zbudowane. Formy są potężne i samodzielne” - notował niemiecki artysta. „Na północy dopasowują się i przenikają nawzajem”.

Wciąż jednak Pankok nie mógł pokazywać ludzkiej postaci. Pomógł mu w tym dopiero ekonomiczny przymus: przez nieomal dekadę (w latach 1924-1933) zarabiał na życie ilustracjami dla prasy. Węgłem lub ołówkiem szkicował przekonywujące wizerunki osobistości z Düsseldorfu: polityków i naukowców, ale także przestępców czy miejscowe piękności. Były to jednak tylko preliminarza, celne psychologiczne szkice. W 1929 roku w czasie pobytu w katalońskiej wiosce Cadaqués pękły tamy i Pankok węgłem zaczął rysować miejscowych. Chodziło mu wówczas o coś więcej niż uchwycenie charakterystycznych rysów twarzy. Podczas hiszpańskiej podróży odkrył El Greco i jego dzieła „namalowane zimnymi barwami ekstazy”. Wydawało mu się, że grecki artysta zdołał również wyrazić egzystencjalny lęk, zwątpienie, strach przed zagładą.

Kiedy na hiszpańskiej prowincji Pankok z powrotem odnalazł drogę do człowieka, portretował konkretnych ludzi: wiecznie kaszlącego Ramona, chorą na raka nędzarkę Tomasę, stare małżeństwo, które nigdy nie przeboleło utraty syna. Artysta opisywał w dzienniku ich tragiczne jednostkowe losy, ale na obrazach chciał pokazać współczujący obraz ludzkiej niedoli.

Jego żywiołem stał się świat ubogich, ale nie próbował walczyć o lepsze jutro i nie



Dinili, 1935 rok, 120 x 100 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Biały Raklo, 1933 rok, 129 x 97 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Ringela, 1933 rok, 119 x 100 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Gaisa i Ringela, 1933 rok, 119 x 100 cm. Rysunek węgłem drzewnym

szukał politycznego przesłania. Interesowała go twarz -naznaczona udręką życia, ale także namiętnością, chęcią przetrwania, nadzieją. „Być biednym oznacza także znów zobaczyć przed sobą starą, zgubioną ścieżkę. Zbliżyć się do sił natury” - pisał. W artystycznej ideologii wydaje się nieco naiwny, a może raczej niewinny. Pragnął trzymać się z dala od „izmów”, ruchów czy szkół. W sformułowanych w 1924 roku Dziesięciu Przykazaniach Malarza nakazywał sobie (i artystycznej młodzieży) niezależność od publiczności, od własnych ambicji i wybitnych pierwowzorów. Dziewiąte przykazanie brzmiało: „Musisz ostro odrzucać to, co ci nie pasuje, choćby to był Rembrandt czy Chagall”. W pierwszym zaś doradzał: „Nie bój się kiczu”. Pankok o kicz tylko się ocierał, ponieważ nieomal dziecinnie wierzył w możliwość przekazywania w sztuce prawdziwych uczuć i wierne naśladowanie natury. Wierzył również w utopię „nie-mieszczańskiego człowieka”, jakby bardziej ludzkiego, niezapętego pokusami cywilizacji. Nie wygładzał jego rysów i nie szukał konwencjonalnej urody. Nerwowa, falista linia boleśnie zniekształca twarze, marszczy skórę, wykrzywia reumatyzmem palce. Ludzie Pankoka przypominają stare, sękatę drzewa. Zapewne nie bez powodu do ulubionych technik artysty należały wielkoformatowy rysunek węgłem, drzeworyt oraz rzeźba w drzewie.

„Molari” niemieckich Sinti

Cygańskim żywiołem Pankok po raz pierwszy zachwycił się w Prowansji w 1931 roku. Po powrocie do Niemiec natychmiast odnalazł grupę Sinti (niemieckich Romów), którzy obozowali w byłej francuskiej strefie militarnej w Heinefeld w pobliżu Düsseldorfu. Artysta mieszkał wśród nich cztery lata, malarski warsztat urządził w kurniku i stał się osobistością w obozie. Był ich „Molari”, malarzem, a modele wręcz się do niego garnęli. Tylko raz, na samym początku, został okradziony - ze wzruszeniem wspominał, jak mała Hoto zwinęła mu mydło z umywalki, jakby dla zasady, dla zachowania cygańskiego stylu życia. Pankok nie tylko rysował Sinti, ale także słowami kreślił pełne współczucia portrety. Dzięki temu wiemy, że chuda dziewczynka w chustce na głowie, którą pokazał na poruszającej litografii, to Gaisa. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, była brudna, bosa w środku zimy i prowadziła zasmarkanego braciszka. Ale latem, kiedy w szpitalu wycięto jej potężny kołtun, nagle wyrosła na piękną, czarnoooką dziewczynę o weneckich rudych włosach. Garnęły się do niego dzieci. Pokazywał je bose i umorusane, ale także z pytającym spojrzeniem, niewinnym i ciekawym, głodnym świata. Często malował głuchoniemą Dinili. „Wszystko, co chciała powiedzieć, wyrażała w tańcu” - wspominała córka artysty. Pankok śledził losy, zapamiętywał imiona: Hoto, Gaisa, Ringela, Morsi czy Nuna. Jednak cygańska dziewczynka z potarganymi włosami to więcej niż portret. Jest niedomytym, wiecznie głodnym dzieckiem, ale także symbolem swobody. W tym samym okresie Cyganów malował również ekspresjonista Otto Müller, który po matce miał romskie pochodzenie. W swoich uwodzicielskich obrazach pokazywał cygańskie życie jako rodzaj raj, baśniowej więzi z naturą. Pankok także kojarzył Cyganów z rozpięającą piersi wolnością, prostotą międzyludzkich więzi. Już sama ruchliwa, wijąca się kreska malarza zdaje się wyrażać niepokój, potrzebę wędrowania. Nawet wychudzone sylwetki, smagane wiatrem i biedą twarze Sinti nie wyrażają oskarżenia, lecz raczej dumę, pęd życia. Podziwiał ich wolność od dyktatury czasu. „Nie znają czasu i dlatego mają czas, czas w transcendentalnym znaczeniu, które stało się nam niedostępne” - przekonywał. „W naszym stuleciu judzi się nas, że czas to pieniądz, oni zaś marnują się w bezproblemowym raj, beczynn timerzanując się w życiu, jakie my przeżywamy tylko w szczęśliwych snach”.



Papelon geigt, 1934 rok, 129 x 97 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Cygański koncert, 1934 rok, 100 x 149 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Dzieci w pokoju, 1934 rok, 98 x 147 cm. Rysunek węgłem drzewnym

Podparta Dinili, 1935 rok, 129 x 96 cm. Rysunek węgłem drzewnym

Dinili, 1935 rok, 99 x 118 cm. Rysunek węgłem drzewnym



Jednak Pankok nigdy nie idealizował cygańskiego losu. Choć imponował mu obcy, barwny świat, zdawał sobie także sprawę z ciemnej strony takiej wolności - biedy, zaniedbania i melancholii tego osamotnionego w Europie ludu.

„Nadal jestem z Cyganami” - pisał Pankok w 1934 roku do jezuitę, ojca Muckermanna. „Odkryłem tu, że sztuka musi wejść w nowe stadium. Uważam, że skończył się okres l'art pour l'art, a więc że nie można już być blisko życia, pięknie malując banany, zimne bukiety kwiatów i kaktusy. Zło, do tej pory przywiązane do płota, zostało dziś spuszczone z łańcucha, świat idzie w stronę piekła. Codziennie człowiek przeżywał kaźń, prześladowania, kneblowanie, kłamstwa, mord, rabunek, czyli grzechy w monumentalnej postaci”.

Groza tego czasu, przeczucie kataklizmu jawiły się Pankokowi w apokaliptycznych wymiarach. Dlatego dla wyrażenia swoich uczuć wybrał temat „Pasji”, ale sceny tego monumentalnego cyklu zaludnił postaciami niemieckich Cyganów. Tak więc sztywne, wychudzone ciało Chrystusa stało się protestem przeciwko nadchodzącej nocy nazizmu, figurą uniwersalnego cierpienia. Wkrótce „Pasja” została zakazana - krytyk prasowego organu SS „Der Schwarze Korps” zaatakował „typowo semickie” rysy Jezusa, a Pankok został zaliczony do „artystów zdegenerowanych”. Paradoksalnie rasistowskim krytykom „semickie” wydały się twarze Sinti: Ringela, która pozowała jako Maria w czwartym obrazie „Pasji”, skojarzyła się recenzentowi ze „słodko-sentymentalnymi Żydówkami z książek Else Lasker-Schüler”.

Cyganów z Heinefeld wywożono do obozów. Kiedy w 1931 roku Pankok przyglądał się zjazdowi Cyganów w prowansalskiej miejscowości Saintes-Maries-de-la-Mer, jeszcze nie przypuszczał, że jego obrazy, rysunki i ryciny, na których przedstawiał wolnych jak wiatr niemieckich Sinti, wkrótce staną się elegią dla tego ludu, a Ringela zginie w Ravensbrück.

Tymczasem Pankok, nie bacząc na zakaz i niebezpieczeństwo, nadal pochylał się nad losem uciśnionych. W 1940 roku pokazywał zniszczoną synagogę i grającego w getcie wycieńzonego skrzypka. Myślał też o „Bezimiennych” (1940), uchodźcach, którzy zginęli w drodze i których ciała pozostały na zawsze nierozpoznane. Cierpiących nie dzielił na kategorie, postrzegał jedną wspólnotę bólu.

„Te obrazy są pozdrowieniem dla wolnych ludzi, którzy zostali wygnani i poniżeni, ale powrócili. Dla tych, którzy zostali uwięzieni, lecz wyszli z ciemnego karceru i znów poczuli na skórze słońce południa, smak deszczu i powiew wiatru, który przenika całe ciało. Te obrazy są poświęcone tym, którzy podnieśli się z rumowisk i cmentarzysk Europy, aby znowu spojrzeć w rozgwieżdżone niebo”. Taką dedykację zapisał Otto Pankok we wstępie do swojego zbioru „Cyganie”, który ukazał się w 1958 roku. Jego obrazy, owoc szczęśliwych dni wśród przychylnych mu ludzi, zmieniły się w elegię dla tych, którzy zginęli, ale także dla bezpowrotnie utraconego świata niemieckich Cyganów.

Zmarły w 1966 roku Otto Pankok pozostaje dziś artystą niedocenianym, także w swojej ojczyźnie. Na szczęście jego spuścizną opiekuje się cioteczny wnuk. Dzięki wysiłkom Moritza Pankoka powstaje w Berlinie galeria, która zajmie się współczesną twórczością Cyganów.

Cyganie także nie zapomnieli o Pankoku. Wielu Sinti z Düsseldorfu, którzy przeżyli wojnę, mieszka w otwartym w 1983 roku osiedlu jego imienia w dzielnicy Hackenbruch. Z kolei Moritz Pankok na wystawach wuja widywał nieraz łzy w oczach sędziwych Sinti. Portrety Pankoka są jedynym śladem ich zamordowanych w Auschwitz przodków.

Anna Arno

Cykl Pasja, 1933 rok, Karta 54, 148 x 99 cm. Rysunek węglem drzewnym



O Cyganach, którzy przekręcili gangsterów

☀ W filmie Guya Ritchiego bossowie gangów pozbawieni są cech, które budzą sympatię widzów. Zmienił się również sam Londyn i przestępczy układ sił. Zaczął obowiązywać narodowościowy egalitaryzm

Miłosz A. Gerlich

Stolica Wielkiej Brytanii w przededniu trzeciego tysiąclecia. Prześiknięte dymem cygar i papierosów, otulone żądzą zysku londyńskie podziemie przestępcze. Świat złodziei, sutenerów, zabójców, kanciarzy i hazardzistów; Amerykanów, Anglików, Cyganów, Irlandczyków, Jamajczyków, Rosjan, Żydów. Groźnych, ale i groteskowych rzezimieszków Guy Ritchie zobrazował w „Przekręcie”.

W strojach chasydów

Gdy jako kilkuletni dzieciak Ritchie obejrzał tragikomiczny western „Butch Cassidy i Sundance Kid”, postanowił związać swą przyszłość z branżą filmową. Spełnił marzenia, został uznanym reżyserem kina, które zapewnia rozrywkę.

Ritchie urodził się w 1968 roku w Hatfield, dorastał w Londynie. Właśnie w angielskiej stolicy toczy się akcja większości jego filmów. Twórczość brytyjskiego reżysera zdominowały produkcje opowiadające o rozmaitych rzezimieszkach. Dlaczego? Ritchie twierdzi, iż przestępcze subkultury są fascynujące.

Na dużym ekranie debiutował w 1998 roku „Porachunkami”. Doskonały scenariusz, wartka akcja, nowatorski montaż i dialogi utrzymane w konwencji angielskiego humoru zapewniły mu światowy rozgłos. Wśród



Fot. Columbia Pictures/East News

fanów filmu znalazł się również Brad Pitt, który poprosił reżysera, by zaangażował go przy następnej produkcji. Bohaterowi masowej wyobraźni odmówić nie sposób. W „Przekręcie” Pitt zagrał rolę irlandzkiego Cygana Mickeya O’Neila.

Głównym bohaterem filmu jest londyńczyk Turkish, drobny cwaniaczek o wiecznie zdziwionej minie. Fabułę stanowi jego opowieść o niewiarygodnych splotach okoliczności, w wyniku których znalazł się w centrum gangsterskich porachunków.

Wszystko zaczyna się w Antwerpii. Belgijskie miasto to światowa stolica handlu diamentami, a tamtejsi Żydzi kontrolują niemal cały rynek obrotu kamieniami szlachetnymi, są też cenionymi specjalistami w ich obróbce. Pewnego razu na warsztat i sklep jubilerski napada grupa „chasydów”. Żydowski pracownicy zostają sterroryzowani, łupem bandytów pada ogromny brylant.

Za chasydów przebrali się zawodowy złodziej Franky Cztery Palce i trzech jego bandziorów. Ponad 80-karatowy diament zrabowali na zlecenie nowojorskiego bossa świata przestępczego. Franky, zanim odda klejnot szefowi, jedzie do Londynu, by tam sprzedać ukradzione przy okazji drobniejsze kamienie. Spotyka się z uzbeckim gangsterem Borysem Blizną, byłym oficerem KGB. To handlarz bronią, który pewnego razu znacznie przesadził z liczbą połkniętych tabletek ecstasy. Od tego czasu bije rekordy w liczbie nerwowych tików na sekundę. Borys pragnie przywłaszczyć sobie brylant, który wciąż posiada Franky. Nadpobudliwość nie przeszkadza mu jednak w logicznym myśleniu, nie zamierza wylać się w wojnę z amerykańskimi gangsterami. Dlatego opłaca dwóch Murzynów, by odebrali kamień złodziejowi.

Między gatunkami

Gatunki filmowe są w pewnym sensie obietnicą producentów złożoną widzom. Odbiorca, wybierając film zaklasyfikowany do konkretnej kategorii, wie, czego się spodziewać. Gatunek powinien zapewnić przeżycie przewidywalnych emocji, wywołać jasno określone uczucia: strachu przed siłami nie z tego świata (podczas oglądania horroru), śmiechu z innego człowieka (w przypadku komedii) czy płaczu spowodowanego nieszczęśliwą miłością (o której opowiada melodramat). Tego rodzaju produkcje zwiększają szansę na finansowy zysk, są bowiem realizowane według formuły, która już odniosła sukces. W sprawdzony model wkładana jest kolejna fabuła.

W „Przekręcie” przeplatają się dwa wątki. Pierwszy osnuty jest wokół podziemnych walk pięściarskich, główną rolę odegrają w nim brytyjscy Cyganie. Akcja drugiego skupia się na zmaganiach gangsterów walczących o zdobycie klejnotu. Konwencja przyjęta przez Guya Ritchiego sytuuje obraz na pograniczu komedii i filmu gangsterskiego.

Kino gangsterskie to swoista czarna baśń, w której najczęściej snuje się opowieści o ciemnych interesach. Zwykło się przyjmować, iż gatunek ten zapoczątkowały „Światła Nowego Jorku” z 1928 roku oraz „Mały Cezar” nakręcony dwa lata później. Film gangsterski pokazuje egzotykę, odkrywa to, czego zwykły śmiertelnik nigdy nie doświadczy. Najczęściej budowano go wokół konfliktu społeczeństwa poddanego prawu i jednostki, która stawia siebie ponad prawem, pożąda władzy i pieniędzy. Fabułom towarzyszyły zwykle nutka nostalgii oraz przekonanie o istnieniu gangsterskiej lojalności i swoistego przestępczego etosu. Tak było w tradycyjnych obrazach opowiadających o losach półświatka. Dlatego budziły wątpliwości, a twórców oskarżano o sianie moralnego zgorznięcia. Czasy się zmieniły, zmieniła się również wymowa filmów. W gangsterskim obrazie Guya Ritchiego bossowie gangów pozbawieni są cech, które budzą sympatię widzów. Zmienił się również sam Londyn i przestępczy układ sił. Nielegalne interesy nie są już wyłączną domeną synów Albionu, zaczął bowiem obowiązywać narodowościowy egalitaryzm.

Biznes z Cyganami

Turkish organizuje nielegalne walki bokserskie. Prowadzenie takiego biznesu nie może rzucać się w oczy, więc interesy załatwia w przyczepie campingowej ustawionej w starym magazynie. Ponieważ jego biuro wygląda



Fot. Columbia Pictures/East News

jak relikw z czasów ślubu księcia Karola z Dianą Spencer, musi kupić nową przyczepę. Wysłała po nią przyjaciela. Tommy, niski wzrostem i poziomem inteligencji trzydziestolatek, ma w tym celu udać się do cygańskiego obozu. Romowie w Wielkiej Brytanii od wieków utożsamiani są z różnymi grupami wędrowców i włóczędów, których określa się tam wspólnym mianem „Travellersów”. Cyganie nie byli tam bowiem pionierami koczowniczego trybu życia. Wypiańska biedota - szczególnie pochodzenia irlandzkiego i szkockiego - na długo przed przybyciem „Egipcjan” wędrowała po traktach królestwa, by poprawić warunki egzystencji. „Gypsies” przybyli do Anglii w XVI wieku i od początku zajęli ekonomiczną niszę. Odwiedzali wsie położone z dala od miast. Dzięki koczownikom rolnicy mieli dostęp do domowych sprzętów, narzędzi i informacji. Zimą Cyganie przynosili się do większych miejscowości. Rozbijali namioty, budowali szałas, wynajmowali domy. Często dochodziło do kontaktów z Anglikami i Irlandczykami, ale też zawierano mieszane małżeństwa.

Travellers i Cyganie nie cieszą się zbyt wielką sympatią osiadłych mieszkańców Anglii. Również Tommy nie darzy Romów zaufaniem. Dlatego jedzie do obozu w towarzystwie Boskiego George’a. Przewisko równie przewrotne jak w przypadku Małego Johna z legendy o Robin Hoodzie. Boski wyglądem i wzrostem przypomina Monstrum z powieści o Frankensteinie, za sam wyraz twarzy mógłby dostać dziesięć lat bez wyroku. Jest pięściarzem, który wkrótce ma stoczyć walkę.

Nokaut

Angielskie słowo „snatch” (to oryginalny tytuł filmu) ma wiele znaczeń, rozumiane jest także jako „chwytnie okazji”. Gdy Tommy i George przybywają na podlondyński camping, by spotkać się z irlandzkim

Cyganem Mickeyem O'Neilem, nie mają pojęcia, że ich przyjazd stanie się szansą na spory zarobek dla goszczących ich Travellersów.

Na campingu Tommy stwierdza: „Z Cyganami jest jeden problem. Za cholerę nie można ich zrozumieć. To ani angielski, ani irlandzki. Po prostu cygański”. To zresztą powszechna na Wyspach opinia. Z powodu częstych kontaktów z innymi koczownikami tamtejsi Cyganie posługują się mieszkanką angielskiego, galeickiego, irlandzkiego i romskiego. Ich obóz wygląda jak wielki śmietnik. Wszędzie błoto, walają się zdewastowane pralki i piecyki kuchenne. No i Mickey, który z opuszczonymi spodniami kuca obok swojej przyczepy i załatwia potrzeby fizjologiczne.

Matka Mickeya chce obu gości zaprosić na herbatę, ale George zostaje przy samochodzie. „Macie nas za złodziei?” - pyta pani O'Neil. „Nie, on lubi pilnować samochodu” - jak zawsze błyskotliwie odpowiada Tommy. Zakup zostaje sfinalizowany. Gdy wyruszają w drogę powrotną, zrelaksowany Tommy pyta towarzysza: „Czemu się ich czepiają? To mili ludzie”. W tym momencie od wozu campingowego z hukiem odpada podwozie.

O'Neil nie zamierza przyjąć reklamacji: „Na co mi przyczepa bez kół?”. Takie żarciki jeszcze bardziej podgrzewają atmosferę. Bijatyka wydaje się nieunikniona. W końcu Mickey idzie na ustępstwo. Proponuje pojedynek na pięści z George'em. Jeśli bokser-wielkolud wygra, O'Neil zwróci pieniądze. Zwycięzcę nietrudno wytypować, więc zakład zostaje przyjęty. Tyle tylko, że irlandzki Cygan okazuje się pięściarskim mistrzem. Dawid nokautuje Goliata. George wymaga drutowania szczęki.

Kontuzja Boskiego mocno komplikuje sytuację Turkisha, który ma trudności finansowe. Musi organizować nielegalną walkę do spółki z londyńskim gangsterem o wdzięcznej ksywce Ceglówka. Słynie on z bezwzględności, zabija bez skrępowań. Ciała zamordowanych stają się karmą dla świń, które specjalnie w tym celu hoduje. Ponieważ George nie może przystąpić do pojedynku, Turkish musi wystawić innego zawodnika. Namawia do walki Mickeya. Zmiana pięściarza to jednak zmiana umowy, którą zawarł z Ceglówką. Gangster boi się finansowej straty. Stawia warunek: albo O'Neil podłoży się przeciwnikowi w czwartej rundzie, albo on zaserwuje świnkom wystawną i sutą kolację, na której Turkish będzie daniem głównym. Na swoje szczęście Turkish przekonuje Mickeya do oszustwa.

Walka trwa kilka sekund, po czym Mickey nokautuje przeciwnika i z miną niewiniątka cieszy się z żartu. Ot, przypadkiem wyszedł mu cios życia. Wściekły Ceglówka daje Turkishowi jeszcze jedną szansę. Tym razem sam zorganizuje walkę, a Cygan ma się podłożyć skutecznie. Ceglówka zapewnia, że jest śmiertelnie poważnym przedsiębiorcą. Aby uniknąć niespodzianek, wysłała bandytów, by podpalili przyczepę campingową, w której śpi matka Mickeya. Pani O'Neil ginie w płomieniach.

Jaka jest cygańska reakcja?

Zbliża się wieczór walki. Mimo tragicznej śmierci matki Mickey decyduje się walczyć. Obawia się, że Ceglówka zabije kolejnych ludzi. Tuż przed walką bokser jest pijany i skacowany jednocześnie. Na pogrzebie matki, zgodnie z tradycją - jak informuje Turkish - Cyganie upili się do nieprzytomności. Czy O'Neil wytrwa aż do czwartej rundy i dopiero wtedy da się znokautować?

Bibliografia:

A. Fraser, *Dzieje Cyganów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2001, s. 96-97.

A. Helman, *Film gangsterski*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1990, s. 21-40.

J.J. Rousseau, *Umowa społeczna*, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2009, s. 11.

W drodze na ring Ceglówka informuje Mickeya, iż wysłał swoich ludzi do obozowiska. Jeśli walka nie skończy się zgodnie z ustaleniami, zginą wszyscy mieszkańcy cygańskiego campingu.

Gong. Rozpoczyna się bijatyka. W trzeciej rundzie Mickey nokautuje rywal... Tym razem już się nie śmieje, razem z Turkishem i Tommym salwują się ucieczką przed zemstą Ceglówki. I w tym miejscu fabuły pojawia się suspens, gdyż... okazuje się, że Cyganie to wszystko zaplanowali. Matki boksera nie było w spalonej przyczepie. Rozpacz i pogrzeb były jedynie przedstawieniem odegranym, by przekreślić gangsterów, a Cyganie stawiali pieniądze u nielegalnych bukmacherów na zwycięstwo O'Neila.

A jak uniknęli śmierci mieszkańcy campingu? „Nie ma akcji bez reakcji. A cygańska reakcja bywa zajebista” - stwierdza z offu Turkish. Na wysłanych przez Ceglówkę bandytów Romowie urządzili zasadzkę i zaaplikowali im pokaźną liczbę karabinowych kul. Na bossa nie marnowali tyle amunicji. Zginął od jednego pocisku wystrzelonego prosto w twarz.

Romowie przechytrzyli wszystkich. Chwycili nadarzącą się okazję. Następnego dnia Turkish z Tommym przyjeżdżają na camping, gdzie wciąż walają się śmieci. Ale po obozowiczach nie ma śladu, Cyganie się ulotnili. „I dobrze, bądź co bądź zakopali tutaj dwanaście osób” - komentuje Turkish. „Nie odnajdziesz Cygana, który nie chce być odnaleziony” - dodaje. Znajdują tylko cygańskiego psa, który wydaje z siebie dziwne dźwięki. Gdy szczeka, słychać pisk. Szybko łapią kundelka i opuszczają camping. Ale niezwykle odgłosy nie dają spokoju nowym właścicielom zwierzaka. Po paru dniach pies trafia do weterynarza. A ten wyciąga z jego żołądka piszczącą zabawkę i... brylant.

Na straży wolności

„Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w okowach” - stwierdza w klasycznej rozprawie Jean-Jacques Rousseau. W koncepcji francuskiego filozofa ludzie zgodzili się na ograniczenie swoich praw w imię bezpieczeństwa. Lecz ludzkości wciąż towarzyszy nostalgia za nieskrępowaną wolnością. Tym bardziej że potrzeba bezpieczeństwa coraz częściej wykorzystywana jest do kontroli kolejnych sfer życia. Od blisko stu lat kino gangsterskie cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem. Filmy te spełniają marzenia o wolności jednostki i gloryfikują przekraczanie norm społecznych. Cóż za paradoks, iż o Romach mówi się nieraz w podobnym kontekście.

Miłosz A. Gerlich

Załoga bez kompromisu

☼ Kiedy pięć lat temu **Madonna** zaprosiła ich na scenę podczas koncertu w Londynie, aby razem wykonać piosenkę „Lela Pala Tute”, media zgodnie stwierdziły, że wielka gwiazda pomogła niszowej kapeli zaistnieć w wielkim show-biznesie. ☼ Dziś pewnie znalazłyby się osoby, które zapytałyby, kim jest ta pani obok **Gogol Bordello**

Robert Sankowski

Z pozoru Eugene Hütz wygląda jak rasowy hipster. Charakterystyczna chuda sylwetka, zmierzwiona czupryna, zakrzywiony nochal, świdrujące, trochę figlarne, trochę łobuzerskie spojrzenie. No i wąsy. Imponujące, sumiaste, fantazyjnie zakręcone. Dodajmy do tego mocno znoszone, ale zawsze pstrokate ciuchy, najpewniej wyciągnięte gdzieś z lumpeksów, które dopełniają jego pozornie niedbały, ale tak naprawdę przemyślany i konsekwentny image. Takich undergroundowych dandysów znajdziemy dziesiątki w najmodniejszych knajpach amerykańskich miast, w klubach w Londynie, Berlinie czy nawet Warszawie, gdzie będą popijać podwójne

Madonna i Gogol Bordello podczas koncertu Live Earth na Stadionie Wembley w Londynie 7 lipca 2007 r.
Fot. Richard Young/Rex Features/East News

latte i dyskutować o swoim najnowszym artystycznym projekcie.

Ale Eugene jest inny. Eugene nie podąża za żadną nową modą. Nie kopiuje pomysłów trendsetterów, nie naśladuje wizji stylistów z kolorowych magazynów. Nie jest kolejnym reprezentantem hipsterskiej subkultury. I to nie tylko dlatego, że ma już 39 lat. Zdecydowanie za dużo, aby gonić za nowinkami światowej popkultury. Eugene wyglądał tak zawsze. A jego wygląd to nie ukłon w stronę dzisiejszego alternatywnego kanonu. To trochę nawiązanie do jego wschodnioeuropejskich korzeni. A trochę użyteczny sceniczny wizerunek - idealny dla frontmana zespołu tak szalonego i kolorowego jak nowojorska załoga Gogol Bordello.

Paczka podpitych Rosjan

Kto widział tę kapelę na żywo choć raz, zapamięta na zawsze. Bo Gogol Bordello na koncercie zawsze daje z siebie wszystko. Gdy przyjechali do Polski po raz pierwszy jakieś 10 lat temu, zagrali dla setki osób w warszawskim klubie CDQ. Dziś występują dla kilkudziesięciu tysięcy na największych letnich festiwalach Europy. I zawsze porywają tą samą energią grania, szaleństwem i radością. A także piosenkami, na które składają się elementy bezkompromisowego punka, jamajskiego ska, bałkańskiego i wschodnioeuropejskiego folku, muzyki latynoskiej, żydowskiej i romskiej. Bo płyty Gogol Bordello są dokładnie takie, jak skład etniczny tej grupy. - Każdy z nas pochodzi z innej części świata - wyjaśnia Eugene. - Jesteśmy niczym jedno wielkie światowe centrum przesiadkowe.

W słowach Hütza nie ma przesady. Jego prawa ręka w zespole, skrzypek Siergiej Riabcew, pochodzi z Niżnego Nowgorodu. Urodzony w latach 50., wygląda trochę jak dziadek reszty zespołu. Ale tak samo jak Eugene, to on na scenie jest jednym z motorów napędzających Gogol Bordello. Energii starcza mu zresztą na więcej - poza ekipą Eugene'a znajduje czas jeszcze na trzy inne zespoły. W tym jeden, który przygrywa nowojorczykom na weselach. Akordeonista Jurij Lemeszew urodził się na Sachalinie. - Już dalej na wschód nie można - śmieje się Hütz, który zwrócił uwagę na Jurija, gdy ten grał w nowojorskich barach i każdy występ ubarwiał zwariowanymi przebierankami, wykazując się szczególną słabością do dziwacznych kapeluszy i peruk. - A mnie znaleźli dzięki programowi adopcji afrykańskich dzieci - żartuje na temat swoich początków w zespole urodzony w Etiopii basista Thomas Gobena. - Tak naprawdę to widziałem ich parę razy na koncertach, które grali w klubach na Lower East Side. Znałem już wcześniej inne kapele, które próbowały łączyć kabaret, muzykę cygańską i rock'n'roll. Ale Gogol był wyjątkowy. No i intrygowała mnie perspektywa grania z paczką podpitych Rosjan.

Ekipę uzupełniają izraelski gitarzysta Oren Kaplan, amerykański bębniarz Oliver Charles i Ekwadorczyk Pedro Erazo. - To nasz mistrz ceremonii - mówi o tym ostatnim Eugene, bo jego rolą w zespole jest nakręcanie na koncertach dobrej zabawy. Czasami kapela zabiera ze sobą na trasy także tancerki - Elizabeth Sun i Pamelę Racine. Pierwsza ma korzenie chińskoszkockie, w żyłach drugiej płynie krew tajska i amerykańska. - W tym zespole to zupełnie naturalne. Tu każdy jest jakimś kulturowym mieszkańcem - mówi Gobena. - Nie dotyczy to samych muzyków. Pracownicy techniczni, którzy jeżdżą z nami na trasy, też są imigrantami z najbardziej odległych części świata.

Z Bojarki do Nowego Jorku

Taki wielokulturowy muzyczny przekładaniec mógł narodzić się tylko w Nowym Jorku. Ale prawdziwe korzenie grupy sięgają zupełnie gdzie indziej - na Ukrainę, gdzie urodził się Eugene. I gdzie nasiąkał pierwszymi muzycznymi doświadczeniami. Z jednej strony muzyką anglosaską. Jego ojciec grał w jednej z pierwszych ukraińskich kapel rockowych, za jego sprawą mały Hütz osłuchiwał się z nagraniami Johnny'ego Casha czy Leonarda Cohena. Potem sam odkrywał swoich własnych idoli - The Clash, The Pogues, Nicka Cave'a. Z drugiej strony zasłuchiwał się w lokalnej muzyce ludowej. - Czy to wesele, czy program telewizyjny, wszędzie było jej pełno - wspomina. - W trzech państwowych kanałach TV folklor stanowił jakieś 50 procent ramówki. Innej muzyki władza nie akceptowała. Ludzie tego nienawidzili. Ale ja nauczyłem się doceniać te melodie. Coś w nich było. Jakaś szczególna energia. Kryła się nawet w tych ugładzonych, sterylnych wersjach przygotowanych na potrzeby państwowej telewizji.

Przez pierwsze kilkanaście lat Hütz - urodzony w podkijowskiej Bojarce jako Jewgienij Aleksandrowicz Nikołajew - był przekonany, że jest typowym Ukraińcem. Co prawda babcia miała nieco ciemniejszą karnację i dziwny odcień włosów, ale wyjaśniała wszystkim, że to pozostałość po przodkach z Mołdawii. Przełom nastąpił dopiero wraz z awarią elektrowni w Czarnobylu w 1986 roku. W związku z katastrofą wszystkie dzieci z Kijowa ewakuowano na wieś. Eugene'a wysłano do rodziny w zachodniej Ukrainie. Rodzina ku zaskoczeniu nastolatka okazała się stuprocentowymi Romami. - Moi pradziadkowie próbowali wtopić się w ukraińskie społeczeństwo, stąd te opowieści o Mołdawii - mówi Hütz. - Ale wystarczyło, że przez rok pomieszkałem z moimi romskimi kuzynami, a stałem się taki jak oni. Całkowicie zmieniłem swoją kulturową identyfikację. Zrozumiałem, że przez te wszystkie lata w Kijowie stałem się typowym gringo. Gadziem odcięty od prawdziwych korzeni. Ten jeden rok odmienił wszystko. Gdy wróciłem do Kijowa, nic już nie było takie samo.

Tym bardziej że rodzice Eugene'a, trochę wystraszeni czarnobylską katastrofą, a trochę zmęczeni kłopotami, jakie spadały na ojca za granie wywrotowego, dekadentckiego rock'n'rolla w Związku Radzieckim, postanowili wyrwać się z socjalistycznej ojczyzny. Przez Polskę, Węgry, Austrię i Włochy jako uchodźcy polityczni trafili ostatecznie do Stanów Zjednoczonych. - To był szalony czas - wspomina Eugene. - Co miesiąc zmienialiśmy obóz dla uchodźców. Spaliśmy w barakach z ludźmi, których nawet nie mieliśmy czasu poznać. Czasami zatrzymywaliśmy się na tyle długo, że mogłem poszukać jakiegoś zarobku. We Włoszech na przykład myłem szyby samochodów zatrzymujących się na skrzyżowaniu pod światłami.

W Stanach rodzina Nikołajewów znalazła w końcu przystań w spokojnym Vermont. Ale Eugene'a ciągnęło dalej w świat. Zaczął grać na gitarze, śpiewać, pisać piosenki i zakładać własne kapele. W końcu przybrał panieńskie nazwisko matki - Hütz - i wyruszył do Nowego Jorku po sławę i przygodę. Włączył się po klubach, był didżejem, poznawał ludzi. Wśród nich muzyków, z którymi ostatecznie stworzył Gogol Bordello. - Z początku publiczność była wobec nas bezradna - opowiada. - Zapraszano nas głównie do galerii sztuki, bo uważano, że jesteśmy raczej projektem artystycznym, a nie zespołem rockowym. Dopiero z czasem powoli przekonywali się do nas organizatorzy koncertów.

Gogol Bordello nagrywa płyty od końca lat 90. Głośniej o grupie zrobiło się w 2005 roku, gdy wydała album „Gypsy Punks”. Dwa lata później doszło do słynnej współpracy z Madonną. - Ona już od jakiegoś czasu była naszą fanką - mówi Hütz. - Poznaliśmy się w zupełnie naturalny sposób. Bez medezarów, bez wzajemnych uzgodnień między agentami. Po prostu wpadła na nasz koncert. Przepłynęły między nami dobre fluidy. Pomyśleliśmy więc, że możemy zrobić coś razem.

„Lela Pala Tute” - zmiksowane na koncercie kapitałnie z hitem Madonny „La Isla Bonita” - okazało się wydarzeniem. Gwiazda zainspirowana jednorazową współpracą wprowadziła ten numer na stałe do programu całej swojej trasy koncertowej. A potem namówiła Eugene’a, aby zagrał w jej filmie „Mądrość i seks”. Obraz nie zebrał najlepszych recenzji, ale akurat Hütz wypadł w nim najbardziej przekonująco. Co nie było specjalnym zaskoczeniem - parę lat wcześniej udowodnił już, że świetnie czuje się na ekranie w filmie „Wszystko jest iluminacją”.

Immigrant Punk

Eugene mógł być z siebie dumny. I jego zespół, i on sam osiągnęli sukces. Ale Hützowi nie zależy na zwykłej sławie. On ma do spełnienia prawdziwą misję. - Mam wrażenie, że kultura świata zachodniego doszła do swojego kresu i teraz zaczyna się do znudzenia powtarzać - mówi. - Trzeba szukać nowych inspiracji. Dla mnie pod względem muzycznym taką niewyczerpalną kopalnią złota jest tradycja romska. Odkrywanie jej na nowo w moim wypadku to nie tylko pomysł na karierę. To coś znacznie więcej.

„Nie jestem Żydem, choć jestem kimś do niego podobnym” - śpiewa Hütz w jednym z największych hitów Gogol Bordello „Wonderlust Kings”, nawiązując do mitu wiecznego tułacza. W klipie do tej piosenki na mapie odtwarzana jest symbolicznie cała historyczna wędrówka Romów - od Indii, przez Azję i Afrykę, po najdalsze zakątki Europy i jeszcze dalej, w świat. Można to nazwać karmą, przeznaczeniem, jungowskim archetypem. Albo po prostu romską krwią, która się w nim odzywa. Eugene niczym jego przodkowie też ciągle jest w drodze. Kiedyś jako emigrant bez ojczyzny, teraz jako artysta, który jest obywatelem świata. Gogol Bordello nieustannie koncertuje, objeżdżając wszystkie zamieszkane kontynenty. Ale nawet w chwilach przerwy od grania Hütz nie potrafi zagrzać miejsca. Z Nowego Jorku rzuciło go do Brazylii - najpierw do Rio de Janeiro, potem do São Paulo. Ostatnio Eugene przyznał, że zaczyna realizować kolejny pozamuzyczny projekt. Własny telewizyjny show. O czym będzie? Oczywiście o podróżach.

Być może Hütz traktuje cały ten romski sztafaż trochę użytkowo i powierzchownie - głównie jako świetne paliwo dla kapeli. I rozmienia spuściznę przodków na drobne. Trochę dostało mu się za to od samych Romów. Można to zobaczyć w dokumentalnym filmie „The Pied Piper Of Hutzovina”, w którym wędruje po Ukrainie w poszukiwaniu muzycznych korzeni. Gdy puszcza swoją muzykę miejscowemu muzykowi, ten krzywi się, włącza odtwarzacz i z niesmakiem oddaje Eugene’owi płytę. - Jestem ortodoksem. I jestem przeciwny temu wszystkiemu, co kaleczy naszą tradycję - mówi. Hütza jednak niełatwo zrazić. W tym samym dokumencie jest przejmująca scena, gdy w jakiejś zapadłej wiosce na Huculszczyźnie, mimo piszczącej wokół biedy, Eugene podczas zaimprovizowanego naprędce występu znaj-

duje wspólny muzyczny język z miejscowymi Romami. W tej scenie staje się swoistą antytezą Borata - przybyszem z sytego, cywilizowanego świata, który zamiast kpić i utwierdzać widzów w stereotypowych wyobrażeniach, przełamuje schematy i pokazuje, że w tych ludziach, mimo ich nędzy, tkwią godność, piękno i wielka siła, które wspaniale wyrażają się w muzyce. To nie przypadek, że na każdym koncercie Gogol Bordello wywiesza zielono-błękitno-czerwoną flagę Romów. W wywiadach również często, co o romskiej kulturze, mówi o historii i prześladowaniach dotyczących ten naród. Nie ogranicza się zresztą do kryteriów etnicznych. Solidaryzuje się ze wszystkimi uchodźcami, podkreślając, że przecież sam był jednym z nich. O tym jest jedna ze sztandarowych piosenek Gogol Bordello „Immigrant Punk”. - Dziś moje papiery są już w porządku. Ale sytuacja wielu moich znajomych wciąż jest niejasna. W Nowym Jorku wszyscy są przyjezdnymi. Nie znam tam nikogo, kto byłby w stu procentach w porządku wobec Urzędu Imigracyjnego. To irytujące i frustrujące. Doskonale to rozumiem, bo sam przez siedem lat nie miałem żadnego obywatelstwa.

Zamiast traktować to jak jakiś wstydlivy okres życia, Eugene zamienił to doświadczenie w swój atut. Większość przybyszów do Ameryki stara się na siłę wtopić w społeczeństwo, walczy ze swoim akcentem, próbuje koniecznie stać się obywatelem nowej ojczyzny. Hütz robi coś wręcz odwrotnego. Zamiast szlifować angielski, zdaje się podkreślać jego wschodnioeuropejską barwę. W połączeniu z jego image’em jest to momentami mocno przerysowane. Obrusza się jednak, gdy zasugerować mu, że świadomie rozgrywa w ten sposób stereotypy i kompleksy związane z naszą częścią kontynentu. Ale dlaczego w takim razie w piosence „American Wedding” narzeka, że wesela za Atlantykiem nie mają klimatu, bo brakuje na nich wódki i śledzia w occie? Ktoś tu chyba lubi wodzić swoją publiczność za nos. Jednak trzeba przyznać - Eugene robi to w wyjątkowo uroczy sposób.

Robert Sankowski

„Czystość rasowa” i inne pokusy

☀ Nauka ma dziś narzędzia, które teoretycznie mogłyby być użyte w niecnym celu. ☀ Muszę jednak uspokoić czytelników. ☀ Większość naszych obaw związanych z genetyką człowieka kończy się na teoretyzowaniu

Sławomir Zagórski

Niedawno media podały zaskakującą informację dotyczącą węgierskiego polityka. Otóż jeden z obecnych parlamentarzystów, członek ultraprawicowej partii Jobbik, zwrócił się do budapeszteńskiej firmy diagnostyczno-badawczej Nagy Gén Diagnostic and Research, by ta sprawdziła, czy przypadkiem w jego DNA nie ma śladów romskich i żydowskich. Test przeprowadzono we wrześniu 2010 roku. Skontrolowano 18 miejsc w genomie parlamentarzysty i wydano certyfikat, że może spać spokojnie - jego DNA jest „rasowo czyste”.

Sprawę rozdmuchały węgierskie media. Miejscowa Rada Badań Naukowych doradzająca rządowi w kwestiach polityki zdrowotnej zażądała przeprowadzenia kontroli działalności firmy Nagy Gén. Sekretarz owej Rady József Mandl określił wynik wspomnianego testu genetycznego jako „profesjonalnie nieprawdziwy i etycznie nie do zaakceptowania”.

W podobnym duchu wypowiedział się Europejskie Towarzystwo Genetyki Człowieka. „Wynik testu niczego nie dowodzi” - stwierdził prof. Jörg Schmidtke, prezes Towarzystwa. „Nie można na podstawie zbadania kilku miejsc w genomie dedukować na temat czyjegoś pochodzenia. Jestem pewien, że genetycy kliniczni na świecie poprą mnie i napiętnują owo skandaliczne nadużycie technologii. Technologii, którą opracowano, by pomagać



Matka z dzieckiem z indiańskiego plemienia Havasupai. Fotografia zrobiona w Supai w sierpniu 1941 roku. Fot. AP/East News

chorym, a nie siac nienawiść” - grzmiał Schmidtke. Zaprotestowali również polscy genetycy. „Jestem osobiście wstrząśnięty taką informacją i cieszy mnie fakt szybkiej reakcji europejskich kolegów. Naturalnie przyłączamy się do nich” - powiedział prof. Janusz Limon, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka. Ostatnim akordem sprawy było wyrzucenie firmy Nagy Gén z dotychczasowej siedziby, tj. z Uniwersytetu Budapeszteńskiego. Najwyraźniej uczelnia nie chciała, by kojarzyć ją z przeprowadzaniem tego typu badań. Zastanawiając się nad tym wydarzeniem, można by zadać pytanie o inne pokusy polityków i ideologów związane z genetyką i o to, jak, a także czy nauka się przed nimi broni.

Tajemnica kodu

- Za czasów Hitlera nasza wiedza o genetyce była znikoma, ale trudno sobie wyobrazić, by mogła ona jeszcze usprawnić eksterminację Żydów - mówi prof. Ewa Bartnik z Uniwersytetu Warszawskiego. - Naziści robili to nad wyraz skutecznie bez znajomości ludzkiego DNA.

Gwałtowny rozwój genetyki zaczyna się nie wcześniej niż 10-15 lat po wojnie. W 1953 roku James Watson i Francis Crick ustalają strukturę DNA, nieco później udaje się złamać kod genetyczny. Trzeba było odczekać kilkadziesiąt lat, by poznać kompletny zapis ludzkich genów (stało się to w roku 2003). Dziś ustalenie pełnej sekwencji DNA pojedynczego człowieka można uzyskać w ciągu doby; kosztuje to coraz mniej i jest nadzieja, że nadal będzie tanieć.

Naukowcy od lat tropią też różnice w budowie ludzkiego DNA pomiędzy najrozmaitszymi społecznościami, a przede wszystkim te spośród naszych genów, których uszkodzenie może być powodem groźnych chorób. Jednym z nich jest odkryty w 1990 roku przez Amerykankę dr Mary-Claire King *BRCA1*. Uszkodzenie w tym genie - a takich uszkodzeń znamy dziś setki - może wywoływać raka piersi i jajnika.

Nauka ma więc już dziś w ręku narzędzia, które teoretycznie mogłyby być użyte w niecnym celu, tak jak się to stało na Węgrzech. Muszę jednak uspokoić czytelników. Większość naszych obaw związanych z genetyką człowieka kończy się na teoretyzowaniu.

Po pierwsze, to właśnie genetyka przyczyniła się nie tak dawno do odrzucenia pojęcia rasy. Z badań DNA wynika wyraźnie, iż zewnętrzny wygląd człowieka to zdecydowanie bardziej sprawa klimatu niż genów. I tak np. czarni mieszkańcy Afryki i niemal identycznie wyglądający mieszkańcy Polinezji różnią się zasadniczo pod względem genetycznym, a na oko zaliczylibyśmy ich do tej samej czarnej rasy. Pamiętam moje zdziwienie, kiedy pracując w latach 80. w Algierii i ucząc tamtejszych studentów - w przeważającej większości Berberów - dowiedziałem się, że różnice genetyczne między nami są znacznie mniejsze niż między mną a np. Skandynawami czy Brytyjkami.

Obawy o niegodne wykorzystanie genetyki koncentrowały się dotąd głównie wokół dwóch spraw - obie dotyczyły dostania się wyników genetycznych testów w niepowołane ręce. Wyobraźmy sobie, że udało się opracować test wskazujący precyzyjnie skłonność poszczególnych ludzi do depresji (to naturalnie fikcja; nikt nie wynalazł i pewnie nie znajdzie podobnego testu). Ale wynikami takich badań mógłby być np. bardzo zainteresowany nasz pracodawca. Zawsze lepiej zatrudnić osobę, która nie będzie chorować na depresję czy brać długich zwolnień etc.

Tym, co siedzi w naszym DNA, jeszcze bardziej interesowałyby się zapewne firmy ubezpieczeniowe. Czyż nie byłoby dobrym interesem ustalanie wysokości stawki ubezpieczeniowej na podstawie kompletu informacji o naszych genach zwiększających ryzyko zachorowania na raka, miażdżycę, udar i pięć innych poważnych chorób?

Na razie jednak wszystkie te obawy pozostają na papierze. Nikt, przyjmując nas do pracy, nie żąda wyniku badań DNA, a ubezpieczyciele - nie tylko w Polsce - zadowolają się informacjami o naszym wieku, przewlekłych chorobach, o tym, czy palimy papierosy itd.



Indianie Havasupai zamieszkują trudno dostępne rejony Wielkiego Kanionu.
Fot. AP/East News

Lekarz tylko radzi

Informacja o naszych genach jest poufna, tak jak poufna jest każda informacja medyczna. Są jednak przypadki, kiedy lekarze wraz z osobami zainteresowanymi zastanawiają się, czy o negatywnym bądź pozytywnym wyniku badania nie poinformować najbliższych.

Choroba Huntingtona (dawniej zwana płasawicą Huntingtona) jest ciężką, nieuleczalną chorobą mózgu dotyczącą średnio jednej na 10 tysięcy osób. To prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem - zaczyna się najczęściej między 30. a 50. rokiem życia. Naukowcy w 1993 roku zidentyfikowali gen, którego zmiana powoduje jej wystąpienie. U osób zdrowych obie kopie genu są prawidłowe, u chorej jedna kopia jest zmutowana. Ryzyko przekazania choroby dziecku (zarówno synowi, jak i córce) wynosi 50 procent. Uczeni opracowali test, za pomocą którego można sprawdzić, czy dziecko odziedziczyło wadliwy gen po chorym rodzicu.

Nie każdy jednak chce mieć taką wiedzę, gdyż może ona zniszczyć całe

życie. Z drugiej strony, można dzięki niej inaczej je planować - decydować się na wcześniejsze posiadanie dzieci, by zdążyć je odchowić, lub przeciwnie - zrezygnować z posiadania dzieci, by nie narażać ich na groźne schorzenie. Decyzję o wykonaniu testu, a także o ewentualnym poinformowaniu o jego wyniku bliskich podejmują wyłącznie osoby bezpośrednio zainteresowane. Lekarz może tylko radzić.

Od pewnego czasu prywatne laboratoria oferują nam najróżniejsze genetyczne testy. Namawiam do daleko posuniętej ostrożności wobec tej oferty. O ile bowiem testowanie się w kierunku pojedynczych zmienionych genów (jak w przypadku wspomnianej choroby Huntingtona) ma rzeczywiście istotne znaczenie diagnostyczne, o tyle badanie skłonności do tzw. chorób wielogenowych nadal przypomina wróżenie z fusów. Jeśli bowiem skłonność do cukrzycy, nadciśnienia czy schizofrenii uwarunkowana jest współdziałaniem 10, 20, a może 50 i więcej genów, żaden z dostępnych testów nie pozwoli nam ustalić prawdziwego zagrożenia ze strony tych chorób. Z kolei z miarodajnych testów pod kątem chorób jednogenowych warto korzystać wtedy, gdy w rodzinie takie choroby się zdarzały. Jeśli więc babcia lub matka zachorowały stosunkowo wcześnie na raka piersi, warto sprawdzić, czy gen *BRCA1* jest prawidłowy. Trzeba jednak pamiętać, że przypadki tzw. rodzinnego raka piersi to zaledwie ok. 5 procent tego typu nowotworów.

Dobrowolnie i anonimowo

Genetyka nadal szybko się rozwija. I o ile badanie genetycznego podłoża najrozmaitszych chorób w dużych populacjach przypomina szukanie igły w stogu siana, o tyle te same badania prowadzone w niewielkich, odizolowanych społecznościach mogą przynieść znacznie szybsze efekty. - Zależności pomiędzy genami a chorobami w małych populacjach to coś, co genetycy kochają - podkreśla prof. Ewa Bartnik.

Ponieważ pula genów w małych społecznościach jest stabilna i dochodzi w nich nierzadko do zawierania małżeństw pomiędzy osobami blisko spokrewnionymi, pewne choroby ujawniają się tu wyjątkowo często. W małych populacjach istotny jest również tzw. efekt założyciela. Jeśli jakiś błąd genetyczny był na samym początku w niewielkiej grupie założycielskiej, może on potem dosyć często występować w danej populacji. Choroba Lebera, czyli dziedziczna neuropatia nerwu wzrokowego Lebera, to wynik mutacji w tzw. mitochondrialnym DNA (większość naszego materiału genetycznego umieszczona jest w jądrze komórkowym, ale pewna jego część także w komórkowych siłowniach - mitochondriach). Okazuje się, że we francuskojęzycznej Kanadzie najczęstsza mutacja wywołująca chorobę Lebera pochodzi od konkretnej kobiety, która ją do Kanady „zawiozła”. W Europie akurat ta mutacja jest najrzadszą z trzech znanych.

Przykładem choroby związanej z DNA jądrowym i występującej w zamkniętych populacjach jest ciężka neurodegeneracyjna choroba Taya-Sachsa atakująca Żydów aszkenazyjskich.

Aszkenazyjczycy (z których wywodzi się większość Żydów europejskich i amerykańskich) w IX wieku przenieśli się ze Wschodu do Nadrenii, a stamtąd do wielu innych regionów Niemiec, Europy Wschodniej, na Ukrainę i do Rosji. Dzieje 11 milionów ich potomnych są praktycznie nie do odtworzenia, bo - jak zauważa Steve Jones w książce „Bóg, geny i przeznaczenie” - większość miała na tyle zdrowego rozsądku, by uniknąć oficjalnej rejestracji

w państwie, gdzie takie informacje mogły łatwo obrócić się przeciwko nim. Choroba Taya-Sachsa niszczy osłonki izolacyjne komórek nerwowych i doprowadza do stopniowej utraty zdolności poruszania się, a w efekcie do przedwczesnej śmierci. Większość chorych umiera w trzecim roku życia. Wszyscy mają identyczny defekt genetyczny, a co za tym idzie - wspólnego protoplastę w odległej przeszłości. W tej sytuacji stało się jasne, że dalsze kultywowanie małżeństw w obrębie stosunkowo wąskiej grupy ludzi będzie tylko pogłębiało ryzyko wystąpienia choroby w kolejnych pokoleniach. Jednak dzięki dobrowolnym anonimowym testom genetycznym, jakie z inicjatywy rabina Josepha Eksteina wprowadzono w latach 90. wśród społeczności Żydów zamieszkujących Crown Heights w Brooklynie, udało się praktycznie wyeliminować zagrożenie. Dodajmy, że sam rabin Ekstein stracił czworo dzieci z powodu choroby Taya-Sachsa. Doprowadził on do tego, by swaci par sposobiących się do małżeństwa sprawdzali, czy ich związek jest bezpieczny pod kątem Taya-Sachsa i by w razie czego Komitet Zapobiegania Chorobom Genetycznym wśród Żydów odradzał małżeństwo. W roku 1993 odpowiednim testom poddało się tysiące ludzi; w ich efekcie 87 par zrezygnowało z zawarcia związku małżeńskiego.

Podobną politykę ochrony przed dziedziczną chorobą stosują Sardyńcy. W ich przypadku chodzi o anemię sierpowatą, rodzaj wrodzonej niedokrwistości spowodowanej nieprawidłową budową hemoglobiny. Dzięki przedmałżeńskim genetycznym testom udało się znacznie obniżyć częstotliwość występowania anemii sierpowatej w tym rejonie świata.

Te dwa przykłady świadczą o tym, że niewielkie, zamknięte społeczności z rozwoju genetyki korzystają, przy okazji oddając często sporą przysługę nam wszystkim. Ważne jest jednak, by nie nadużywać ich zgody na niektóre badania genetyczne. A coś takiego, niestety, już się w historii zdarzyło.

Indiańskie plemię Havasupai liczy zaledwie 650 członków. Ludzie ci są potomkami Indian Hohokam z północnych rejonów Meksyku. Zamieszkują dziś trudno dostępne rejony Wielkiego Kanionu (do ich siedzib można dotrzeć wyłącznie konno lub pieszo, ewentualnie helikopterem). Tak wielka izolacja i mała liczebność sprawiły, iż pewne choroby występują wśród Havasupai bardzo często, np. cukrzyca typu 2. W 1991 roku aż 55 procent kobiet i 38 procent mężczyzn cierpiało z jej powodu - to jedne z najwyższych wskaźników na świecie.

W 1989 roku dwaj członkowie plemienia Havasupai zwrócili się do naukowców z pobliskiego Arizona University z prośbą o pomoc. Reakcja była natychmiastowa. Tamtejsza genetyczka dr Therese Markow obiecała zająć się ich sprawą. Od członków plemienia pobrano próbki krwi do badań w kierunku cukrzycy. Jakiś czas później okazało się jednak, że zespół dr Markow ogłosił także aż 15 publikacji dotyczących zupełnie innych kwestii, tj. schizofrenii wśród Havasupai, tzw. chowu wsobnego, czyli kojarzenia ze sobą bliskich krewnych, wreszcie migracji dawnych ludzkich populacji z Azji do Ameryki Północnej.

Uznano to za wyraźne nadużycie udzielonej przez Indian zgody. Sprawa znalazła swój finał w sądzie. Po długich sporach uniwersytet zgodził się zwrócić zamrożone próbki krwi Indianom i zapłacić im 700 tysięcy dolarów odszkodowania. Jednak ważniejsze w tej kwestii okazały się koszty utraczonego zaufania. Te trudno przeliczyć na pieniądze.

Sławomir Zagórski



Obozowisko Romów
przy ulicy Kamińskiego
we Wrocławiu,
czerwiec 2012 r.
Fot. Maciej Świerczyński/Agencja Gazeta

Wrocławianie bez walizek

☼ Ślady różnorodności etnicznej, narodowej i religijnej są źródłem nostalgicznych opowieści o minionej złotej erze. ☼ Tak konstruowane „wielokulturowe małe ojczyzny” stają się zastrzeżonym dla konkretnego obszaru i nachalnie reklamowanym produktem
Miłosz A. Gerlich

Ściany z dykty, znalezione na śmietnikach okna i drzwi, dachy z porzuconej przez kogoś falistej blachy. Z takich materiałów rumuńscy Romowie budują swoje domy we wrocławskim obozowisku w pobliżu miejskiej obwodnicy. Przebywa w nim, w zależności od pory roku, od sześćdziesięciu do ponad stu osób.

Imperatyw wielokulturowości

Cyganie z Rumunii przybyli do Wrocławia ponad dwie dekady temu, po 1989 roku. Mieszkańcy wciąż pamiętają pojawienie się pierwszej tak licznej grupy imigrantów, przekazują sobie o nich różne historie. Krąży opowieść, że na trzecim peronie wrocławskiego Dworca Głównego, niedaleko tablicy upamiętniającej ostatnią podróż Zbyszka Cybulskiego, Cyganka urodziła dziecko. Wedle relacji pępowinę syna odcięła szyjką rozbitej butelki.

Gdy zginął rozstrzelany przez rewolucjonistów dyktator Nicolae Ceaușescu, wielu rumuńskich Romów zdecydowało się opuścić ojczyznę. Niczym indyjscy przodkowie rozpoczęli wędrówkę, by znaleźć spokojne i dostatnie życie. Chaos, który panował w pierwszych latach transformacji systemowej, ułatwiał im przebywanie w Polsce. Traktowali ją jak przystanek w drodze ku baśniowemu dobrobytowi Niemiec, Włoch czy Francji. Tych, którzy postanowili osiąść w Polsce na stałe, stopniowo deportowano. Po latach, gdy Rumunia przystąpiła do Unii Europejskiej, wrócili wraz z kolejnym pokoleniem.

Wyniki zeszłorocznego Narodowego Spisu Powszechnego wskazują, że cudzoziemcy stanowią zaledwie 0,2 procenta mieszkańców Polski. Ta stale niewielka liczba powodowała, iż kolejne rządy nie tworzyły strategii dla imigrantów. Dopiero w kwietniu 2011 roku MSWiA przedstawiło raport „Polityka migracyjna Polski”, który obejmuje sugerowane działania wobec napływających obcokrajowców.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, iż na poziomie centralnym i samorządowym wciąż dominuje myślenie życzeniowe, wedle którego Polska pozostanie krajem monoetnicznym. Dlatego propagowanie na wszystkich szczeblach administracji idei wielokulturowości wydaje się paradoksem.

W dyskursie naukowym znaczenie i istota multikulturalizmu są przedmiotem licznych interdyscyplinarnych polemik, szeroko dyskutowane są również kwestie terminologiczne. Natomiast w przestrzeni medialnej najczęściej prezentowane są debaty ograniczone do zacieklej sporów o podłożu światopoglądowym. Generalizując i upraszczając: zwolennicy wielokulturowości wzywają do szacunku wobec odmienności i pragną promować pozytywne wartości wynikające z szeroko pojmowanej różnicy. Przeciwnicy ostrzegają zaś, iż taka polityka prowadzi do relatywizacji kultury i rozmycia tożsamości narodowej.

Idea multikulturalizmu ukształtowała się w krajach imigranckich, gdzie naród uważa się za wspólnotę polityczną, obywatelską. U jej początków stał postulat emancypacji grup zmarginalizowanych przez kulturę dominującą i dyskryminowanych ze względu na odmienną etniczność. Procesy globalizacyjne doprowadziły do rozpowszechnienia tej idei w państwach, które w sferze politycznej, demograficznej i historycznej znacznie różnią się od ojczyzn wielokulturowości - Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Lokalna specyfika powoduje, że polityczne działania na rzecz emancypacji różnorodności realizowane są na wiele sposobów.

Miłosz A. Gerlich

Etnolog i antropolog kulturowy, doktorant studiów doktoranckich Nauk o Kulturze na Uniwersytecie Wrocławskim. Spośród szerokiego zainteresowań badawczych szczególnie bliskie są mu kwestie etnicznej różnorodności w Polsce. Współautor wrocławskiej aplikacji o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Pasjonat rozmów z przypadkowo spotkanymi ludźmi, filmów i street artu.

Poznański etnolog Michał Buchowski w artykule poświęconym antropologicznym refleksjom nad multikulturalizmem podkreśla, iż w Polsce idea ta rozumiana jest głównie w kontekście mniejszości narodowych i etnicznych, wpisanych do ustawy z 2005 roku. Dokument zapewnia tym grupom prawo do ochrony i pielęgnowania tożsamości kulturowej. Rządowymi gwarancjami objęto Białorusinów, Czechów, Litwinów, Niemców, Ormian, Rosjan, Słowaków, Ukraińców, Żydów, Łemków, Karaimów, Romów oraz Tatarów. W Polsce na poziomie lokalnym i regionalnym można zaobserwować proces „wycinania wielokulturowości”. Urzędnicy odpowiednich wydziałów, nierzadko przy udziale organizacji pozarządowych, tropią nosicieli „innych” kultur, by spożytkować unijne fundusze i/lub promować małą ojczyznę w Polsce lub na arenie międzynarodowej. W obliczu liczbowej „nędzy” przedstawiciele tożsamości kulturowych wymienionych w ustawie poszukiwania nierzadko poszerzane są o perspektywę historyczną. Stąd niemal powszechnym zabiegiem stało się odwoływanie do metafory miejscowości czy regionu jako palimpsestu, doszukiwanie się obecności innych narodów w przeszłości *orbis interior*. W tym sensie Wrocław to polskie miasto, ale w przeszłości znajdowało się przecież pod panowaniem czeskim, austriackim i niemieckim. Lublin z kolei chełpi się, że był kiedyś miejscem pokojowego współistnienia wyznawców katolicyzmu, prawosławia i judaizmu.

Przykłady tej szczególnej formy wielokulturowości można mnożyć, odwołując się do kolejnych regionów, miast, miasteczek i wsi. Wielokulturowa spuścizna przestrzeni stała się niejako imperatywem kategoriowym w tworzeniu lokalnej polityki historycznej.

Ślady różnorodności etnicznej, narodowej i religijnej są źródłem nostalgicznych opowieści o minionej złotej erze, gdy lokalną rzeczywistość współtworzyły rozmaite kultury. Tak konstruowane „wielokulturowe małe ojczyzny”, niczym zatwierdzone przez Unię Europejską wyroby regionalne, stają się zastrzeżonym tylko dla konkretnego obszaru i nachalnie reklamowanym produktem.

Imigranci w targacie i poza

Warunkiem sukcesu kampanii reklamowej jest wyodrębnienie grupy osób, do których będzie skierowana. Strategie marketingowe mają na celu umożliwienie identyfikacji potencjalnego nabywcy z produktem, który reklamodawca - w imieniu producenta - chce sprzedać. Skuteczny marketing powinien doprowadzić do antropomorfizacji produktu, nadania mu cech ludzkich. Proces ten jest szczególnie widoczny w przypadku marketingu miast. To symptom ponowoczesności w dobie płynnych, wielokrotnych tożsamości, przepływu osób i towarów oraz liberalizmu rynkowego. Odpowiednio skonstruowany wizerunek miejskiej małej ojczyzny ma fundamentalne znaczenie i konkretny wymiar finansowy.

Wrocław postawił na markę wielokulturowości.

Dolnośląska stolica pod koniec lat 90. ubiegłego wieku podjęła pionierskie w skali kraju działania marketingowe, których znaczącym elementem stała się idea multikulturalizmu. Polityka promocji miasta weszła w skład opracowania „Strategia - Wrocław 2000 plus”, którą gminni radni uchwalili w 1998 roku. Tym samym zatwierdzone zostały główne cele rozwoju na kolejne dwadzieścia pięć lat.

„Wrocław miastem spotkania - miastem, które jednoczy” - tą sentencją



Obozowisko Romów przy ulicy Kamińskiego we Wrocławiu,
luty 2012 r.
Fot. Maciej Świerczyński/Agencja Gazeta



misję stolicy Dolnego Śląska wyraża poświęcona promocji część dokumentu. Autorzy „Strategii...” prognozowali, iż „w dalszej perspektywie Wrocław, jak inne duże miasta Zachodu, uzupełniać będzie deficyt populacyjny poprzez samorzutny napływ ludności kulturowo i etnicznie obcej”. Z tego powodu postulowano „uruchomienie programów edukacyjnych i innych działań przygotowujących Wrocław i wrocławian do przyszłej wielokulturowości”.

Nowatorskie zapowiedzi samorządu zainteresowały miejscowego etnologa Mieczysława Trojana. W artykule opublikowanym w 1999 roku na łamach „Spraw Narodowościowych” dokonał on swego rodzaju dekonstrukcji wrocławskiej promocji wielokulturowości. Rozmowy, które przeprowadził z władzami miasta, przedstawicielami samorządów i działaczami regionalnymi, utwierdziły go w przekonaniu, iż podjęcie politycznych dyskusji o multikulturalizmie jest możliwe dopiero w bliżej nieokreślonej przyszłości. „Ale wielokulturowa przynęta chwyciła” - zauważa Trojan. W mediach kolejni autorzy zaczęli wypowiadać się o charakterystycznej dla mieszkańców Wrocławia tradycji otwartości i tolerancji.

Utrzymaną w tym tonie promocję miasta etnolog określił mianem „gry wielokulturowością”. Stwierdził ponadto, iż: „Wrocławianie (...) nie doświadczyli (...) bezpośredniej i realnej obecności »obcych« (w ścisłym znaczeniu) na rynku pracy, w codziennym życiu itp. (...). Dlatego nawet ostrożne uwagi w sprawie potencjalnej tolerancyjności środowiska i jego wielokulturowych skłonności mają charakter względny”.

W 2006 roku w dokumencie „Wrocław w perspektywie 2020 plus” dokonano aktualizacji celów rozwoju miasta. Jego autorzy wprost postawili pytanie o kierunek przyszłej polityki Wrocławia: „wielość kultur czy wielokulturowość”? Udzielono jednoznacznej odpowiedzi, opowiadając się za koniecznością przewagi „polskiej tradycji nad poprawnością polityczną w zakresie zgodnego i lojalnego współżycia różnych kultur”. Ale multikulturalizm nadal pełni istotną funkcję. Autorzy postulowali, by promować Wrocław jako miasto, „które należało w przeszłości do czterech różnych narodów, jako miejsce, w którym wykuwała się wielokulturowa tradycja Europy”.

Na wszystkich szczeblach administracji można wyróżnić podział na dwie grupy potencjalnych imigrantów. Do pierwszej należą osoby młode, wykształcone i przedsiębiorcze. Są one szansą na rozwój gospodarczy i emerytury dla starzejącego się społeczeństwa. Do drugiej zaliczani są cudzoziemcy, wobec których zakłada się możliwość wysiedlenia, szczególnie w przypadku, gdy stają się obciążeniem dla pomocy społecznej państwa. Na pierwszej z wymienionych grup (i potencjalnych turystach) skoncentrowany jest wrocławski marketing miejski, wyrażony w hasle reklamowym „The Meeting Place”. Romowie rumuńscy we Wrocławiu przynależą do drugiej grupy. Znajdują się poza targetem miejskiej kampanii wielokulturowości. Powyższy podział oczywiście nie jest wyrażany bezpośrednio. Zamiast tego rządowe i samorządowe dokumenty mówią o takich imigrantach zarobkowych, którzy będą „traktowani przez państwo na zasadzie preferencyjnej”, w zależności od „potrzeb gospodarki i rynku pracy”. Mówią też o wyłączeniu „z konkurencji globalnej miejskiego rezeruaru miejsc pracy prostej w usługach”, co wydaje się być dyskretną wskazówką, aby zatrudniać rodzimych pracowników. Z kolei przepisy Unii Europejskiej mówią, iż imigranci

będący obywatelami krajów Wspólnoty mogą zostać wydaleny z państwa przyjmującego, jeśli stanowią „nieracjonalne obciążenie dla systemu pomocy społecznej”.

Wrocławianie bez statusu

W ciągu ostatnich pięciu lat kwestia obecności rumuńskich Romów we Wrocławiu było podejmowana przez pracowników urzędów: miasta i wojewódzkiego sporadycznie, najczęściej w wyniku publikacji prasowych. Status grupy pozostaje nieuregulowany. Z racji posiadania obywatelstwa państwa unijnego próby deportacji obozowiczów mogłyby spotkać się ze skrajnie negatywnym oddźwiękiem. Jednocześnie rumuńscy wrocławianie nie są beneficjentami unijnych programów pomocowych dla imigrantów z państw trzecich. Od końca 2011 roku pomagają im natomiast Stowarzyszenie na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego „Nomada”.

Imigranci z Rumunii mieszkają na nielegalnie zajętych terenach. Od początku założenia obozu policjanci, strażnicy miejscy i pracownicy sanepidu mniej lub bardziej subtelnie próbowali skłonić grupę do opuszczenia obozowiska. W marcu bieżącego roku pojawiły się pogłoski, iż strażnicy miejscy zaplanowali akcję usunięcia koczowników. Stowarzyszenie „Nomada” zaalarmowało lokalnych dziennikarzy, członkinie organizacji razem z rumuńskimi Romami pełniły codzienną wartę, by obronić obóz przed likwidacją. Akcja strażników ostatecznie nie doszła do skutku.

Brak obywatelstwa polskiego powoduje, iż imigranci nie są beneficjentami „Programu na rzecz Społeczności Romskiej w Polsce”. Prowadzi to do konkluzji o istnieniu Romów „swoich” (obywateli polskich) i „obcych” (imigrantów). Dariusz Tokarz, pełnomocnik wojewody dolnośląskiego ds. mniejszości narodowych i etnicznych, przekroczył granice tych podziałów. Zainicjował spotkanie, rodzaj „okrągłego stołu”, z udziałem m.in. Romów z Rumunii i Polski, przedstawicieli organizacji pozarządowych, urzędników wydziału ds. cudzoziemców, służb mundurowych, MOPS-u, wydziału zdrowia i edukacji. Głównym celem debaty, która odbyła się 11 kwietnia bieżącego roku, była wymiana informacji między stronami zainteresowanymi obecnością rumuńskich imigrantów we Wrocławiu.

Wnioski były smutne. Większość mieszkańców koczowiska przebywa w Polsce nielegalnie, w pojedynczych przypadkach nawet od kilkunastu lat. Nie mają meldunku, pracy, ubezpieczenia, niektórzy nawet dokumentów. Przez to nie mogą zalegalizować pobytu, znaleźć pracy czy wynająć mieszkania. Praktycznie nie mają środków do życia. Żebrzą o datki w najbardziej uczęszczanych punktach Wrocławia. W obozie nie ma dostępu do bieżącej wody, prądu i ogrzewania. Dzieci z obozowiska nie chodzą do szkoły, a te, które urodziły się w Polsce, spełniają wszelkie kryteria, by nazwać je „bezpauństwowcami”. Nie mają żadnego obywatelstwa.

Spotkanie potwierdziło tezę socjologa Zygmunta Baumana dotyczącą współczesnych zjawisk kryminalizacji biedy. Uczestniczący w nim funkcjonariusze służb celnych wyrażali przekonanie, iż rumuńscy imigranci są członkami gangu handlującego dziećmi i kobietami. Opinie te, odosobnione, spotkały się z ostrym sprzeciwem, także pracowników policji.

Krzepiący jest fakt, iż wobec braku zorganizowanych strategii pomocy imigrantom wsparcia rumuńskim Romom udzielają we Wrocławiu pojedyncze osoby. Pracownicy MOPS-u po pracy przynoszą im paczki żywnościowe, a

lekarze i pielęgniarki przyjmują ich w nagłych wypadkach. Wbrew przepisom, gdyż Romowie nie mają ubezpieczeń. Nieocenione jest również zaangażowanie i wielorakie wsparcie Stowarzyszenia „Nomada”.

Wielokulturowość w działaniu

Wrocławską wielokulturowość nieraz była przedmiotem naukowej i publicystycznej interpretacji. Jednak największy zapewne rezonans wywołał artykuł Jerzego Sawki zamieszczony w lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej”. W prowokacyjnym tekście opublikowanym pod koniec 2011 roku obwieścił: „Wielokulturowy Wrocław to lipa” i rozpoczął burzliwą dyskusję wśród orędowników multikulturalizmu związanych ze stolicą Dolnego Śląska. Sawka dowodził bowiem, iż wyjątkowa w skali kraju wielokulturowość miasta jest mitem, w który wrocławianie uwierzyli, by oswoić jego niemiecką spuściznę. Na potwierdzenie swej opinii dziennikarz odwołał się m.in. do statystyk, wedle których pozostałe miasta w Polsce zamieszkuje podobna liczba przedstawicieli innych kultur, za to Wrocław przoduje w liczbie napadów na tle rasistowskim.

Publikowane w „Gazecie” polemiki z tekstem Sawki dowiodły, jak duże emocje i kontrowersje budzi wielokulturowość. Głos zabrali przedstawiciele wielu środowisk, zarówno znawcy tematu, jak i osoby, które multikulturalizm kojarzyły z dużym wyborem lokali gastronomicznych prowadzonych przez egzotycznych imigrantów. Spór miejscami przypominał rozprawę. Dyskutanci stawali się sędziami wrocławskiej wielokulturowości, jednocześnie pełniąc rolę jej obrońców lub oskarżycieli. Ale przede wszystkim jej uczestnicy (m.in. politolog Klaus Bachmann, antropolożka Hana Červinková, Dariusz Tokarz czy nauczyciele wrocławskiego liceum Monika Szałowska-Murmyło i Mirosław Tryczyk) dzięki artykułowi Sawki rozpoczęli dialog o problemie, który wykracza poza lokalne uwarunkowania.

Czy w Polsce warto podjąć trud realizacji postulatów multikulturalizmu? Rodzimi przywódcy często ulegają złudzeniu, iż imigracja zarobkowa jest odległą przyszłością, a integracja przybyszów z kulturą dominującą dokona się sama. Zamieszki wywołane przez imigrantów we Francji i w Niemczech przeczą nadziejom na samoistną adaptację cudzoziemców. Wydarzenia te stają się również argumentem krytyków wielokulturowości, mają świadcząc o jej porażce. Co prawda można postawić pytanie: Jak bez realizowania idei multikulturalizmu wyglądałaby sytuacja w tych krajach?

Faktem jest, iż w sensie demograficznym Europejczycy coraz bardziej się starzeją, więc choćby z tego względu napływ imigrantów staje się nieunikniony.

Nie ulega wątpliwości, iż polityka multikulturalizmu nie jest uniwersalnym wzorem, wedle którego należy realizować strategie pomocy w adaptacji cudzoziemców. Idea ta powinna być dostosowana do konkretnego miejsca i czasu. Władze Wrocławia stoją przed szansą zainicjowania lokalnych metod współpracy z imigrantami.

Znakomitą ku temu okazją jest podjęcie działań na rzecz Romów z Rumunii. Warunki, w jakich egzystują, nie pasują do miasta, które chce być postrzegane jako „najpiękniejszy kwiat Europy”. Na początek warto się dowiedzieć, kim są i skąd pochodzą rumuńscy Romowie. Warto też przekroczyć stereotypy i dostrzec, że ubóstwo nie oznacza braku kultury. Kolejnym krokiem mogłoby być nawiązanie kontaktu z władzami samorządowymi małych oj-

czyzn obozowiczów, by w ramach międzynarodowej współpracy znaleźć rozwiązanie ich najpilniejszych potrzeb.

Dotychczas imigranci z Rumunii byli przede wszystkim ofiarami mowy nienawiści. Przeklinają ich przechodnie, wyzywają nieromscy sąsiedzi z bliskiego obozowi osiedla. Kilka miesięcy temu próbowano podpalić slums. Policja złapała sprawcę, lecz nie da się wykluczyć nagłej eskalacji ataków. Zbiorową agresję wywołuje czasem jedna iskra. Obozowisko może stać się w przyszłości klasycznym gettem, co uderzy w wizerunek miasta otwartego i tolerancyjnego - centralny punkt promocji stolicy Dolnego Śląska. Działania podjęte przez władze samorządowe wzmocniłyby obraz Wrocławia jako miasta wielokulturowego. Ale przede wszystkim na sytuację rumuńskich Romów trzeba spojrzeć z humanitarnej perspektywy i pomóc ludziom żyjącym w katastrofalnych warunkach.

W książce „My, wrocławianie” opisującej lokalne genius loci podano rezultaty badań socjologicznych związane z wrocławskim autostereotypem. Okazało się, że otwartość, solidarność i tolerancyjność to cechy najczęściej podawane przez wrocławian. Wskazało je odpowiednio 66, 38 i 33 procent respondentów. Powszechnie podziela się tutaj opinię, iż wystarczy postawić walizkę na peronie wrocławskiego dworca, by móc powiedzieć, że jest się wrocławianinem. Czy Cyganka, która urodziła syna na peronie trzecim, jest zatem wrocławianką? Mówi się, że nie. Podobno nie miała walizki.

Miłosz A. Gerlich

Obozowisko Romów przy ulicy Kamieńskiego we Wrocławiu, czerwiec 2012 r.
Fot. Maciej Świerczyński/Agencja Gazeta



Moje wielkie cygańskie wesele

☀ Teatralne suknie sprawiają wrażenie ubrań przygotowanych do szalonego filmu kostiumowego klasy B połączonego z SF. ☀ Nie nazwałabym ich jednak bezwstydnym kiczem. ☀ W swojej niewinnej ostentacji są tak urocze i nieporadne, że aż ujmujące. ☀ Są kampowe

Karolina Sulej

Serial dokumentalny „My Big Fat Gypsy Wedding” („Moje Wielkie Cygańskie Wesele”) gościł na antenie brytyjskiej stacji telewizyjnej Channel 4 od stycznia 2011 do lutego 2012 roku i wywołał wielką dyskusję o społecznościach irlandzkich Travellersów i brytyjskich Romów - o ich miejscu w tożsamościowej palecie Wysp, o ich społecznym odbiorze i stereotypach. Najwięcej dyskutowano jednak o głównej osi serialu - opowieści o ceremoniach, które nadają charakter życiu społeczności. Są to tzw. rytuały przejścia: chrzty, pogrzeby, komunie i te najważniejsze, bo tworzące nowe rodziny w



Fot. Firecracker Films/Channel 4

obrębie wspólnoty - śluby. Ze ślubu zaś najważniejsza jest panna młoda i jej ślubna suknia. Dla twórców serialu pojedynki, jakie kolejne panny młode toczą ze sobą w walce na większe, piękniejsze suknie, są równie ważne dla zrozumienia kultury brytyjskich Romów, jak dla antropologa Clifforda Gertza w latach 90. walki kogutów na Bali.

Kocmołuch i księżniczka

Matrycą strukturyzującą ślubny rytuał jest bajka o cudownej metamorfozie. Kopciuszek był biedną, ale dobrą dziewczyną, która pracowała dla swoich przyrodnich siostr, rozpuszczonych i okrutnych. Pewnego dnia Dobra Wróżka postanowiła nagrodzić Kopciuszkę za trudy i przemieniła jego łąchmany we wspianą balową suknię, a ogrodową dynię w zaczarowaną karoć. Kopciuszek pojechał na bal i spotkał swojego księcia. Bajka o Kopciuszkę to najważniejsza historia dla młodych dziewczyn ze

wspólnoty irlandzkich Travellersów i brytyjskich Romów. Najważniejszy w tej najważniejszej historii jest zaś moment magicznej transformacji Kopciuszka z kocmołucha w najpiękniejszą dziewczynę na balu. Bal z bajki o Kopciuszku to zaślubiny. Dziewczyny ze wspólnoty Romów, zwykle negatywnie stygmatyzowane, poddane wykluczającym stereotypom, w dzień ślubu mają szansę na społeczne dowartościowanie, są obiektami spojrzeń pełnych zachwytu, nie zaś „gapienia się”, na które zwykle są narażone. To nie tylko moment, kiedy „świat zewnętrzny” może zauważyć ich obecność w inny sposób, to także chwila ich kluczowego zaistnienia we własnej wspólnocie. Od dzieciństwa są wychowywane do tego, aby noc, w której zostaną „najpiękniejszą dziewczyną na balu”, była celem ich życia.

Pięć minut sławy

Dla przemiany istotny jest strój - ślubna suknia. Musi być odświętna, bogata, nie z tego świata, magiczna, jakby uszyły ją bajkowe wróżki. Najważniejsze, żeby błyszczała, świeciła się, mrugała, odbijała światło, oślepiała. Suknia, która natychmiast nie zwraca uwagi, to lachman Kopciuszka. Głowę panny młodej zdobi tiara. Nierzadko rozmiarem przewyższa okazałe korony Miss Universum. Nie tylko tiara zresztą powinna być okazała. Im większa suknia, tym większy splendor dla właścicielki. Większa - to znaczy z dłuższym trenem, z większą ilością warstw halek i spiętrzonych falban, z większymi bufkami. Materiały są klasyczne, ślubne: jedwab, koronka, tafta, tiul i syntetyczne tkaniny, które nie kosztują wiele, natomiast dają efekt odwrotnie proporcjonalny do ceny. Tkaniny i dodatki, które im towarzyszą, również muszą stwarzać wrażenie bogactwa.

Ślub to moment, w którym kobiety romskiego i travellerskiego pochodzenia mogą mieć pełnię władzy. To ich czas. To one decydują, jak będzie wyglądała sala, w której zostanie urządzone wesele, jak będą wyglądać drużyny, czym podjadą pod kościół państwo młodzi. Serial sugeruje, że ślub to jedyna okazja w życiu romskich dziewcząt, kiedy mogą pokazać swoją wyjątkowość, unaocznic ją bliskim. Im bardziej widowiskowa, z przepychem uszyta suknia, tym wyższa pozycja panny młodej w społeczności. „Za ten dzień zostaną zapamiętana” - mówi jedna z bohaterek. Od tego, w jaki sposób panna młoda rozegra dzień swojego ślubu, zależy więc, jak zostanie odebrana przez społeczność jako jednostka. To także bardzo dziecienny, niewinny moment dla pań młodych. Przecież ćwiczyły się w ślubnych rytuałach, przystępując do pierwszej komunii, i wymyślały je już wtedy, kiedy miały po kilkanaście lat.

Pomiędzy stanem panieńskim a stanem małżeńskim, między jednym a drugim społecznym oznaczeniem, panna młoda ma pięć minut sławy, może być sobą. Jako panna wciąż musi uważać, aby nie posądzono jej o niemoralne prowadzenie się - nie wolno jej swobodnie wychodzić z domu, spotykać się z chłopcami, nie ma możliwości podjęcia pracy. Zostają tylko marzenia. Najczęściej są to marzenia o ślubie, który jawi się jako jedyny w życiu moment samodzielnej decyzji. Waga tej decyzji staje się wagą sukni ślubnej, jaką sobie szykuje.

Mechaniczne motyle i szeleszczące halki

Czasem suknia waży więcej od panny młodej, ale w marzeniach nie powinno się być akuratnym. Czasem powinna dobitnie podkreślić romską tożsamość.

Taką funkcję ma u Sam, bohaterki drugiego odcinka serialu, która jest gadzią i chce udowodnić rodzinie swojego chłopaka, że ma prawo wejść do wspólnoty. Jej suknia musi „wygrać ze wszystkimi innymi sukienkami raz na zawsze”. Dla Sam spektakularna suknia nie jest sposobem na podkreślenie indywidualności, na wybicie się z grupy, ale wręcz przeciwnie - ma stać się gładkim, dzięki któremu zostanie uznana za „swoją”.

Suknia ta jest różowa, rozłożysta, na ogromnym stelażu. W jej fałdach ukryte są kable LED-owe, które sprawiają, że świeci w ciemności. To jednak nie wszystko - na materiale przysiadły motyle, których skrzydła poruszają się dzięki specjalnemu mechanizmowi ukrytemu w sukience. Kiedy Sam przeciska się do ołtarza, odprowadzają ją spojrzenia pełne aprobaty. W świetle Travellersów i brytyjskich Romów, w którym biografia kobiety jest rozpisana dokładnie jak partytura, dzień ślubu to jedno miejsce puste, otwarte na improwizację panny młodej. Improwizację w obrębie schematu teatralizacji powielanej przez wszystkie dziewczyny we wspólnocie.

Teatralne suknie sprawiają wrażenie ubrań przygotowanych do szalonego filmu kostiumowego klasy B połączonego z SF. Nie nazwałabym ich jednak bezwstydnym kiczem. W swojej niewinnej ostentacji są tak urocze i nieporadne, że aż ujmujące. Są kempowe. Kemp zaś, jak pisała Susan Sontag, odrzuca zwyczajowe kategorie „dobry-zły” jako niewystarczające. I proponuje nową: „rzeczy tak złych, że aż dobrych”. Nie jest to jednak ten rodzaj złośliwości czy drwiny, z jaką wyższe przygląda się niższemu. Kemp zdaniem Sontag jest akceptacją tego, co ludzkie, a więc ułomne: „Smak kampu jest rodzajem miłości, miłości do ludzkiej natury. Smakuje raczej, niż sądzi małe triumfy i niezręczności... Utożsamia się z tym, co go cieszy. (...) Kemp jest tkliwym uczuciem”.

I z tą tkliwością oglądane są bohaterki serialu, których wesele ma być jak z disneyowskiej bajki albo królewskiego dworu, a które nie są świadome, jak ogromną przesadą jest ich strój. Dla nich suknia jest po prostu piękna. Jeśli zabraknie tego czulego spojrzenia, panny młode i ich suknie zaczną przypominać freak show ślubnej egzotyki.

Suknie mówią

Taki zarzut „podglądania odmieńców” postawiono serialowi. Miał on z romskich pań młodych budować galerię kuriozów, dziwnych „dzikich”, których życie można obserwować tak, jak Malinowski przyglądał się mieszkańcom Trobriandów - z dystansem i lekką wyższością tego, który ustala normę.

Śluby na samym szczycie hierarchii społecznej - u arystokracji - mają wbrew pozorom wiele wspólnego ze ślubami u samego jej dołu, czy też raczej na obrzeżach. Romska panna młoda z Wysp przypomina księżniczkę o wiele bardziej, niż mogłoby się wydawać. Do niedawna arystokratce też potrzebne było przede wszystkim dobre urodzenie i wychowanie w tradycji. Wykształcenie, osobowość schodziły na drugi plan. Arystokratka również wychowywana jest w ciasnym gorsecie zakazów i nakazów i ma wyraźnie wyznaczoną społeczną rolę zarówno jako panna, jak i żona. Wszystko, co ma do powiedzenia, demonstrować głównie strojem, bo nie wypada jej posiadać światopoglądu. Ślub to moment, kiedy poprzez strój i oprawę może powiedzieć najwięcej. Tylko wtedy jest najważniejsza, podobnie jest u romskich pań. Dlatego suknia musi być odpowiednio wymowna. To, że suknie

arystokratek postrzegamy jako eleganckie i kosztowne, a suknie Romek jako tanie i wulgarne, to w dużej mierze kwestia naszej optyki. Czy jednak księżna Diana w swojej falbaniastej sukni na ślubie z Karolem z 1981 roku tak bardzo różniła się od romskich dziewczyn w ich sukniach-bezach, które ledwo mieszczą się w limuzynie?

Dresiary, grzeczne dziewczynki i materialistki

Na Wyspach Romki ubierają się w sposób, który określamy jako tandetny. Już małe dziewczynki odsłaniają pępki, noszą błyskotki i buty na obcasie. Od podłotki mają pedicure, manicure, uczesanie prosto od fryzjera i makijaż. Ponieważ dziewczyny tak niewiele mają miejsca na zaspokajanie innych zainteresowań, cały wolny czas poświęcają pielęgnacji urody. Uroda może być dla nich przepustką do lepszego zamążpójścia, ale przede wszystkim jest wizytówką ich tożsamości, określa, jak są odbierane. Prześcigają się więc w wymyślaniu coraz to bardziej ekstrawaganckich kombinacji. Odważnie odsłaniają ciało, jest to jednak ciało zupełnie odseksualizowane. Korzystają z prowokacyjnych ubrań, jakby ożywiały zdjęcia kobiet z filmów erotycznych i kompletnie nie wiedziały, co nosząc je, komunikują. Kiedy Romka zakłada obcisły stanik, odsłania brzuch, ma mini i buty na obcasie, nasze skojarzenie jest jednoznaczne: prostytutka - czyli kobieta zredukowana tylko do jednej funkcji. U Travellersów i Romów tak ubrana dziewczyna jest zaś, według obowiązującego we wspólnocie kanonu urody, po prostu atrakcyjna, ładna.

Dziewczyny często powtarzają, że na ślubie chcą „dobrze wyglądać dla Boga”. Tak jakby do obowiązku moralnego prowadzenia się należało, widziane przez gadziów jako niemoralne, skupianie uwagi na swoim wyglądzie.

Romki w serialu „My Big Fat Gypsy Wedding” noszą się podobnie do brytyjskich *chavs*, co tłumaczy się jako dresiary. Z tipsami, kolczykami w kształcie kół i w kusych spódnicach. Fakt, że te grupy tak bardzo zbliżyły się do siebie pod względem wizualnym, wynika na pewno z ich pozycji społecznej. Z podobnie znikomej ilości społecznego szacunku i podobnego zamiłowania do afiszowania się bogactwem i atrakcyjnością fizyczną. Choć ani wielkiego bogactwa, ani atrakcyjności w rozumieniu klasy średniej tam nie ma.

A dlaczego do tych skąpych ciuszków potrzebne jest tyle błyskotek? Materializm to jedna z najważniejszych cech Romów i Travellersów - musisz mieć kasę i ją pokazywać. Mężczyźni mają swoje samochody, bogactwo kobiet to ich ciało i to, co na siebie włożą. Projektantka strojów ślubnych dla bohaterów amerykańskiej wersji programu powiedziała w jednym z wywiadów: „Większość widzi Romów jako złych ludzi albo takich, których obchodzą tylko rzeczy materialne. Ale przecież wszystkich obchodzą tylko rzeczy materialne. My po prostu inaczej to pokazujemy. Oni prezentują dostatek poprzez samochody i diamenty. My pytamy tę czy inną matkę: Jak twoje dziecko? A ona odpowie: Dzięki, jest na Harvardzie. W ten sposób chcemy pokazać, że jesteśmy istotni społecznie - bo było nas stać, żeby nasze dziecko było najlepsze”.

Można się kłócić o sposób, w jaki serial Channel 4 modeluje historię romskiej i travellerskiej społeczności - podciąga jej losy pod telewizyjny format, który ma zachwycać, ciekawić, szokować i przykuwać uwagę. Szczególnie nie-



Fot. Firecracker Films/Channel 4

bezpieczne są momenty, kiedy zapomina, że nie podgląda bandy dziwaków złapanej w sidła w reality show, tylko opowiada historie prawdziwych ludzi w ich prawdziwym otoczeniu. Egzotyzujący rodzaj spojrzenia w serialu jest niewątpliwie kwestią dyskusyjną. Natomiast ślubne suknie i ich symboliczny ciężar bronią się same. Nawet jeśli telewizja również nie dała kobietom głosu, ich suknie wszystko powiedziały za nie.

Karolina Sulej

Antropologia
seksualnościTEORIA
ETNOGRAFIA
ZASTOSOWANIEPod redakcją
Agnieszki Kościelnej

Żeby imperium było przyzwoite

☀ Kolonialne rządy i przedsiębiorstwa prywatne tolerowały konkubinat i czynnie do niego zachęcały - głównie przez ograniczanie emigracji europejskich kobiet do kolonii i przez odmawianie zatrudnienia żonatym Europejczykom

Ann Stoler

Regulacja związków seksualnych zasadniczo wpłynęła na rozwój szczególnych rodzajów osad kolonialnych i rozmieszczenia działań gospodarczych w ich ramach. Tego, kto z kim sypiał i żenił się w koloniach Francji, Anglii, Holandii, Hiszpanii i Portugalii nigdy nie pozostawiano przypadkowi. Potomstwo powstałe ze związków pomiędzy Wietnamkami i Francuzami, pomiędzy Jawajkami i Holendrami, pomiędzy Hiszpanami i inkaskimi kobietami mogło chcieć przywilejów, a jego prawa i status należało ustalić i narzucić. Od początku XVII po wiek XX obostrzenia seksualne i zakazy małżeńskie obowiązujące przedstawicieli metropolii rygorystycznie określano i skrupulatnie kodyfikowano. Urzędnicy pracujący w firmach handlowych i kompaniach plantacyjnych, misjonarze, bankierzy, wojskowi wysokiego szczebla i przedstawiciele państw kolonialnych w owych debatach na tematy matrymonialne i moralne konfrontowali różne wizje imperium i różne wzory osadnictwa mające w imperium obowiązywać.

Konkubinat chroni zdrowie kolonialne

W 1622 r. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska (VOC) zorganizowała transport na Jawę sześciu biednych, lecz nadających się na żony młodych kobiet i zapewniła im ubranie, posag i kontrakt przywiązujący je na

Ann Laura Stoler

Doktor antropologii Uniwersytetu Columbia, obecnie wykłada w The New School for Social Research. Pierwsza laureatka wyróżnienia dla profesorów antropologii i historii im. Willy'ego Brandta ustanowionego przez tę uczelnię w 2005 roku. Stypendystka National Endowment for the Humanities w dziedzinie nauk humanistycznych oraz dwukrotnie Fulbrighta. Ekspertka w dziedzinie kultur kolonialnych, problematyki gender, ekonomii politycznej, a także południowo-wschodniej Azji. Opublikowała m.in.: *Along the Archival Grain: Epistemic Anxieties and Colonial Common Sense* (2008), *Imperial Formations* (2007), *Haunted by Empire: Geographies of the Intimate in North American History* (2006), *Carnal Knowledge and Imperial Power: Race and the Intimate in Colonial Rule* (2002), *Tensions of Empire: Colonial Cultures in a Bourgeois World* (1997), *Race and the Education of Desire: Foucault's History of Sexuality and the Colonial Order of Things* (1995) oraz *Capitalism and Confrontation in Sumatra's Plantation Belt, 1870-1979* (1985).

Bibliografia:

- Ballhatchet Kenneth (1980), *Race, Sex and Class under the Raj: Imperial Attitudes and Policies and Their Critics, 1793-1905*, New York: St. Martin's Press.
- Blussé Leonard (1986), *Strange Company: Chinese Settlers, Mestizo Women and the Dutch in VOC Batavia*, Dordrecht: Foris.
- Braconier A. de (1933), *Het Prostitutie-vraagstuk in Nederlandsch-Indië*, *Nindisch Gids*, t. 55, nr 2, s. 906-928.
- Brownfoot Janice N. (1984), *Memsahibs in colonial Malaya: a study of European wives in a British Colony and Protectorate 1900-1940*, [w:] *The Incorporated Wife*, red. Hilary Callan, Shirley Arden, London: Croom Helm.
- Butcher John (1979), *The British in Malaya, 1880-1941: The Social History of a European Community in Colonial Southeast Asia*, Kuala Lumpur: Oxford University Press.
- Callaway Helen (1987), *Gender, Culture and Empire: European Women in Colonial Nigeria*, London: Macmillan Press.
- Chivas-Baron Clotide (1929), *La femme française aux colonies*, Paris: Larose.
- Clerkx Lily (1961), *Mensen in Deli*, Amsterdam: Sociologisch-Historisch Seminarium voor Zuidoost-Azië, Publication no. 2.
- Cohen William (1971), *Rulers of Empire: The French Colonial Service in Africa*, Stanford: Hoover Institution Press.
- Dixon C.J. (1913), *De Assistent in Deli*, Amsterdam: J.H. de Bussy.
- Fredrickson George (1981), *White Supremacy*, New York: Oxford University Press.
- Gann L.H., Peter Duignan (1978), *The Rulers of British Africa, 1870-1914*, Stanford: Stanford University Press.
- Gantes Gilles de (1981), *La population française au Tonkin entre 1931 et 1938*. *Memoire*, Aix-en-Provence: Institut d'Histoire des Pays d'Outre Mer.
- Hesselink Liesbeth (1987), *Prostitution: A Necessary Evil, Particularly in the Colonies: Views on Prostitution in the Netherlands Indies*, [w:] *Indonesian Women in Focus*, red. Elisabeth Locher-Scholten, Anke Niehof, Dordrecht: Foris, s. 205-224.
- Hyam Ronald (1986b), *Concubinage and the colonial service: the crewe circular (1909)*, *The Journal of Imperial and Commonwealth History*, t. 14, nr 3, s. 170-186.
- Kroniek. Oostkust van Sumatra-Instituut* (1917), Amsterdam: J.H. de Bussy.
- Lucas Nicole (1986), *Trouwverbod, inlandse huishoudsters en Europese vrouwen*, [w:] *Vrouwen in de Nederlandse Kolonien*, red. Jeske Reijs i in., Nijmegen: SUN, s. 78-97.

pięć lat do Indii Wschodnich (Taylor 1983, s. 12). Poza tym i jeszcze jednym krótkotrwałym eksperymentem imigrację europejskich kobiet do tego obszaru świadomie ograniczano przez następne 200 lat. Rekrutowanie przez VOC kawalerów uczyniło z konkubinatu, prawnie i finansowo, najatrakcyjniejszą formę życia domowego pracowników Kampanii (Blussé 1986, s. 173; Ming 1983, 69; Taylor 1983, s. 16).

Nie tylko VOC czerpała korzyści z takich układów. W XIX i na początku XX w. zarobki europejskich rekrutów w kolonialnych armiach, biurokracjach, kompaniach plantacyjnych i przedsiębiorstwach handlowych były utrzymywane na sztucznie niskim poziomie, ponieważ miejscowe kobiety pełniły służbę w domu, za którą w innym wypadku trzeba byłoby płacić. W połowie XIX w. takie zasady obowiązywały młodych urzędników zamierzających założyć własne gospodarstwo domowe (Ritter 1856, s. 21). Mimo pewnej opozycji ze strony kleru pod koniec stulecia konkubinat był najbardziej rozpowszechnionym sposobem życia europejskich kolonistów w Indiach Wschodnich (Ming 1983, s. 70; Taylor 1983, s. 16; van Marle 1952, s. 486). Europejski mężczyzna i skolonizowana kobieta, jego konkubina, określana jako *nyai* na Jawie i Sumatrze, *congai* w Indochinach i *petite épouse* w całym imperium francuskim, tworzyli podstawową grupę domową w kulturach kolonialnych na początku XX w. Uważano, że konkubinat - w przeciwieństwie do prostytucji, która mogła i często doprowadzała europejskich mężczyzn do syfilisu, a zatem bezproduktywności - stabilizuje porządek polityczny i chroni zdrowie kolonialne. Taki związek trzymał mężczyzn w ich koszarach i bungalowach z dala od burdeli i perwersyjnych związków między mężczyznami.

W Azji i Afryce korporacyjni i rządowi decydenci uznawali usługi socjalne, które pełniły miejscowe kobiety, za „pożyteczne wprowadzenie w język i inne tajemnice lokalnych społeczności” (Malleret 1934, s. 216; Cohen 1971, s. 122). Poradniki dla przyjezdnych pracowników plantacji skierowanych do Tonkinu, na Sumatrę czy Malaje nakłaniały mężczyzn, by znaleźli sobie miejscowe „towarzyszki”, co miało zapewnić szybką aklimatyzację i zabezpieczyć przed kłopotami zdrowotnymi, które, jak uważano, powodują abstynencja seksualna, izolacja i nuda (Butcher 1979, s. 200, 202; Hesselink 1987, s. 208; Braconier 1933, s. 922; Dixon 1913, s. 77). Oficjalny zakaz konkubinatu, wprowadzony przez brytyjskie i holenderskie władze kolonialne na początku XX w., był egzekwowany wybiórczo. Jeszcze długo akceptowano i skrycie praktykowano tego typu związki (Hyam 1986, Callaway 1987, s. 49). Na przykład na sumatryjskich plantacjach, otwartych pod koniec XIX w., jawajskie albo japońskie *huishoudsters* (gospodynie) nie były rzadkością aż do lat 20. XX w. (Clerkx 1961, s. 87-93; Stoler 1985a, s. 31-34; Lucas 1986, s. 84).

Konkubinatem określano wówczas pozamałżeńską kohabitację europejskich mężczyzn i azjatyckich kobiet. W rzeczywistości oznaczał różnorodne układy, obejmujące seksualny dostęp do nieeuropejskiej kobiety, a także jej pracę i prawa do dzieci, które rodziła (Pollman 1986, s. 100; Lucas 1986, s. 86). Miejscowe kobiety (tak jak później Europejki) miały podtrzymywać fizyczną i psychiczną zdolność mężczyzn do pracy, minimalny poziom zadowolenia, nie rozpraszać i nie zachęcać do nieodpowiednich zachowań, a przy tym tego typu relacja nie wymagała - jak uważano - tyle czasu ani środków finansowych, co europejskie życie rodzinne (Chivas-Baron 1929, s. 103).

Konkubinat wygodny, bo wolny od uczuć

To, że konkubinat wzmocniał hierarchie, na których opierały się społeczeństwa kolonialne, nie oznacza, że jednocześnie nie czynił tego porządku bardziej problematycznym. Skrajnie nierówne ilościowo relacje płci w posiadłościach na północnej Sumatrze Północnej sprzyjały intensywnemu współzawodnictwu pomiędzy pracownikami i ich europejskimi nadzorcami, łącznie z *vrouwen perkara* (sporami o kobiety), które powodowały ataki na białych, wywoływały nowe napięcia pracownicze i niebezpiecznie naruszały standardy uznawane za zasadnicze dla białego prestiżu (Stoler 1985a, s. 33; Lucas 1986, s. 90-91). W Holenderskich Indiach Wschodnich nieznana liczba zubożałych kobiet pochodzenia europejskiego o statusie kogoś między prostytutką a konkubiną jeszcze bardziej zakłócała rasową wrażliwość elity urodzonej w Holandii (Hesselinck 1987, s. 216). Metropolitarni krytycy ze względów moralnych ze szczególną pogardą traktowali takie grupy domowe - tym bardziej jeśli związki te były długotrwałe i znaczące, zatem zaprzeczały rasowemu założeniu, że konkubinat jest wygodny, bo wolny od uczuć. Ale być może najistotniejsze jest to, że napięcie pomiędzy konkubinatem jako potwierdzeniem hierarchii rasowej a sprzeniewierzeniem się jej stawało się najbardziej widoczne, kiedy pojawiało się potomstwo – dzieci „mieszane”, biedne „indo” i porzucone „métis” przekraczały granice pomiędzy rządzącymi i rządzonymi, zagrażając kolonialnemu podziałowi.

Konkubinat regulowany przez stopień i oddział

Niemniej jednak kolonialne rządy i przedsiębiorstwa prywatne tolerowały konkubinat i czynnie do niego zachęcały - głównie przez ograniczanie emigracji europejskich kobiet do kolonii i przez odmawianie zatrudnienia żonatym Europejczykom. Mimo że wiele świadectw wskazuje na to, że kobiety początkowo unikały pionierskich przedsięwzięć, częściej wybór nie należał do nich (por. Fredrickson 1981, s. 109). Ograniczenia małżeństw i emigracji kobiet nie zostały, jak często się twierdzi, zniesione, kiedy wszystkie kolonie uzyskały polityczną stabilność, lepszy dostęp do opieki medycznej i bezpieczeństwo gospodarcze. Regulacje te utrzymywano przez dużą część XX w., długo po tym, kiedy brutalne warunki życia i niedostatki wyposażenia stały się przeszłością. W armii Indii Wschodnich małżeństwo było przywilejem korpusu oficerskiego, podczas gdy koszarowy konkubinat był zinstytucjonalizowany i regulowany przez stopień i oddział. W XX w. formalne i nieformalne zakazy stanowione przez banki, posiadłości i służby rządowe działające w Afryce, Indiach i Azji Południowo-Wschodniej zabraniały małżeństwa w czasie pierwszych trzech do pięciu lat służby, a niektóre całkowicie (Moore-Gilbert 1986, s. 48; Woodcock 1969, s. 164; Tirefort 1979, s. 134; Gann i Duignan 1978, s. 240).

Europejska demografia w koloniach kształtowana była przez wymogi ekonomiczne i polityczne i mocno uzależniona od kwestii płci. Pośród pracujących imigrantów i miejscowych, tak jak wśród Europejczyków, liczba mężczyzn przewyższała liczbę kobiet od 2 do 25 razy. Podczas gdy w Holenderskich Indiach Wschodnich proporcja europejskich kobiet do mężczyzn wzrosła z 47:100 do 88:100 pomiędzy rokiem 1900 a 1930, w sumatrańskich plantacjach w 1920 r. było wciąż tylko 61 Europejki na 100 Europejczyków (Taylor 1983, s. 128; „Koloniale Verslag”, cyt. za: Lucas 1986, s. 82). W Tonkinie liczba europejskich mężczyzn (w sumie ponad 14

Malleret Louis (1934), *L'Exotisme Indochinois dans la Littérature Française depuis 1860*, Paris: Larose.

Ming Hanneke (1983), *Barracks-Concubinage in the Indies, 1887-1920*, NIndonesia, t. 35, s. 65-93.

Moore-Gilbert B.J. (1986), *Kipling and 'Orientalism'*, New York: St. Martin's.

Nieuwenhuys Roger (1959), *Tussen Twee Vaderlanden*, Amsterdam: Van Oorschot.

Pollmann Tessel (1986), *Bruidstraantjes: De Koloniale roman, de njai en de apartheid*, [w:] *Vrouwen in de Nederlandse Kolonien*, red. Jeske Reijs i in., Nijmegen: SUN, s. 98-125.

Ritter W.L. (1856), *De Europeaan in Nederlandsch Indie*, Leyden: Sythoff.

Schoevers T. (1913), *Het leven en werken van den assistent bij de Tabakskultuur in Deli*, [w:] *Jaarboek der Vereeniging NStudiebelangen*, Wageningen: Zomer, s. 3-43.

Stoler Ann (1985a), *Capitalism and Confrontation in Sumatra's Plantation Belt, 1870-1979*, New Haven: Yale University Press.

Stoler Ann (1989), *Rethinking colonial categories: European communities and the boundaries of rule*, NComparative Studies in Society and History, t. 13, nr 1, s. 134-161.

NSumatra Posti 1913

Taylor Jean (1977), *The world of women in the colonial Dutch novel*, NKabar Seberangi, nr 2, s. 26-41.

Taylor Jean (1983), *The Social World of Batavia*, Madison: University of Wisconsin Press.

Tirefort Alain (1979), *'Le Bon Temps': La Communauté Française en Basse Côte d'Ivoire pendant l'Entre-Deux Guerres, 1920-1940*, Troisième Cycle, Centre d'Etudes Africaines, Paris.

Van Marle A. (1952), *De groep der Europeanen in Nederlands-Indie*, NIndonesia, t. 5, nr 2, s. 77-121; nr 3, s. 314-341; nr 5, s. 481-507.

Woodcock George (1969), *The British in the Far East*, New York: Atheneum.

¹ Jak sugeruje Tessel Pollman, termin nyai oznaczał kilka funkcji: zarządzającej domem, służącej, gospodyni domowej, żony i prostytutki. Które z nich dominowały, zależało od charakteru obojga partnerów i powodzenia Europejczyka (1986, s. 100). Większość skolonizowanych kobiet jednak łączyła służbę seksualną i domową, czyli należy widzieć je w ramach nikczemnego kontekstu niewolnicy, czyli „kuliski” – mieszkaly w oddzielnych kwaterach i miały bardzo niewiele praw, mogły zostać zwolnione bez powodu i uprzedzenia, były wymieniane pomiędzy europejskimi pracodawcami i co najbardziej znamienne, jak zastrzeżono w kodeksie cywilnym Indii Wschodnich z 1848 r., „nie miały praw do dzieci uznanych przez białego mężczyznę” (Taylor 1977, s. 30). Jednak na Jawie niektóre z nyai uzyskały pewien ograniczony poziom uprawnień, zarządzały firmami i służącymi oraz sprawami domowymi lepiej sytuowanych Europejczyków (Nieuwenhuys 1959, s. 17; Lucas 1986, s. 86; Taylor 1983).

² Przez pewien czas w części kolonii te zadania spełniała prostytutka, ale była kosztowna, niewygodna medycznie i problematyczna społecznie. Choroby weneryczne były trudne do kontrolowania nawet w rozwiniętym systemie zamkniętych szpitali i praw Imperium Brytyjskiego dotyczących chorób zakaźnych i nie były w interesie administracji nastawionych na propagowanie stałego osadnictwa (Ballhatch 1980, Ming 1983). Kiedy w latach 20. XX w. potęgiono konkubinat w Indiach, na Malajach i w Indonezji choroby weneryczne gwałtownie się rozprzestrzeniły, co dało początek nowym staraniom przywrócenia grup domowych wśród Europejczyków (Butcher 1979, s. 217; Ming 1983, Braconier 1933, Ballhatch 1980).

³ Zob. Ritter, który opisuje te układy w połowie XIX w. jako „zło konieczne” bez emocjonalnego zaangażowania, ponieważ miejscowym kobietom „znaczenie słowa »miłość« jest całkowicie nieznanne” (1856, s. 21).

tysięcy) mocno przewyższała liczbę europejskich kobiet (nieco ponad 3 tysiące) jeszcze w 1931 r. (Gantes 1981, s. 138). Przez kontrolę dostępności europejskich kobiet i akceptowanych rodzajów kontaktów seksualnych władze państwowe i korporacyjne kontrolowały samą geografie społeczną kolonii, ustanawiając warunki reprodukcji europejskich populacji i przywilejów.

Rodziny ciężarem

Zakaz małżeństwa był jednocześnie kwestią polityczną i ekonomiczną, określał społeczne ramy wspólnot kolonialnych i standardy życia w ich obrębie. Jednocześnie, co znaczące, pokazywał, jak bardzo zachowanie w życiu prywatnym i skłonności seksualne wyrażane przez jednostki wiązały się z zyskami korporacji i bezpieczeństwem państwa kolonialnego. Nigdzie nie sprzeciwiano się ingerencji w życie domowe bardziej otwarcie niż w północnej Sumatrze na początku XX w. Uważano, że niewłaściwe grupy domowe zachęcają do sprzeciwu równie mocno, jak miały mu zapobiegać akceptowane związki. Rodzinna stabilność i seksualna „normalność” były zatem powiązane z polityczną aktywnością i biernością w bardzo konkretny sposób.

Od końca XIX w. główne północnosumatryjskie kompanie tytoniowe i kauczukowe nie przyjmowały do pracy żonatych mężczyzn ani nie pozwalały żenić się zatrudnionym Europejczykom (Schoevers 1913, s. 38; Clerkx 1961, s. 31-34). Władze kompanii twierdziły, że nowi pracownicy, którym towarzyszą rodziny, byłiby finansowym ciężarem, istniałoby więc ryzyko powstania „europejskiego proletariatu”, a zatem poważne zagrożenie dla białego prestiżu (Kroniek 1917, s. 50; „Sumatra Post” 1913). Na plantacjach pracownicy niższego szczebla protestowali przeciwko ograniczeniom małżeńskim narzucanym przez kompanie, zmobilizowało ich to do sformułowania bardziej ogólnych postulatów (Stoler 1989, s. 144). Pod presją zatrudnionych restrykcje te zostały częściowo zniesione – zakaz małżeństwa obejmował pierwsze pięć lat służby. Ograniczenie to jednak nigdy nie dotyczyło wszystkich, zależało od zarobków i usług miejscowych kobiet, których praca powodowała, że koszty życia i wynagrodzenia personelu niższego stopnia i nowo przybyłych utrzymywały się na sztucznie niskim poziomie. Grupy domowe zatem zmieniały się w zależności od tego, jaką wagę urzędnicy państwowi i prywatni przedsiębiorcy przykładali do ekonomicznych lub politycznych kosztów danego rozwiązania. Kalkulacje takie były zawsze wpisane w decyzje dotyczące relacji domowych. Europejczycy na wysokich stanowiskach widzieli biały prestiż i zyski jako nierozzerwalnie związane ze sobą, a postawy względem konkubinatu odzwierciedlały to przekonanie (Brownfoot 1984, s. 191).

Ann Stoler

Z angielskiego przełożył Michał Petryk

Fragment artykułu „Żeby imperium było przyzwoite. Polityka rasy i moralności w dwudziestowiecznych kulturach kolonialnych”, który wkrótce ukaże się w książce: Antropologia seksualności pod redakcją dr Agnieszki Kościańskiej. Z angielskiego przełożył Michał Petryk. Teoria, etnografia, zastosowanie, pod redakcją naukową Agnieszki Kościańskiej. Dziękujemy Wydawnictwom Uniwersytetu Warszawskiego za zgodę na przedruk. Źródły pochodzą od redakcji

Współpraca Fundacja OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS

